tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 51 (1354)
15-21.12.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

WOJCIECH KRZYŻANIAK
TVP Syguta jest martwa

PROF. PIOTR KIMLA
Ukraina kartą przetargową Europy

MATEUSZ MAZZINI
Trump i jego strategia wojny

BOHDAN PIĘTKA
Etiopia: włoski Wietnam

DŁUGA LISTA OFIAR UZDROWICIELI I SZARLATANÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
51
9 771509 311508

eprasa.pl 1217c1a75a

Podaruj wyjątkową książkę na święta

WYDAWNICTWO Studio Emka

www.studioemka.com.pl

eprasa.pl 1217c1a75a

Paweł Dybicz

MÓJ PRZEGLĄD

Lewico, pamiętaj o IPN

Niedawno Sejm odrzucił kandydaturę pomazańca Karola Nawrockiego na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Odrzucił… i znów zaległa cisza wokół tej instytucji. Parlamentarzystów, którzy zostali wybrani w proteście przeciwko rządom PiS, instytut mało interesuje. A powinien. IPN jest wyrazicielem polityki historycznej państwa, miejscem jej kreowania.

To, co robi IPN, jest nie tylko przeciw koalicji rządzącej, ale przede wszystkim przeciw narodowi. Czy rządzącym nie zależy na przeciwdziałaniu dalszemu podziałowi w społeczeństwie? Przecież polityka historyczna spod znaku IPN dzieleniu Polaków sprzyja. Instytut przeistoczył się bowiem w twór szerzący nacjonalistyczną propagandę, w znacznym stopniu wykluczającą z polskiej historii lewicę i jej dorobek.

Skoro nie da się zlikwidować tej antynarodowej instytucji, bo nie da się w Sejmie obalić weta jej byłego prezesa, należy ograniczyć jej szkodliwość poprzez radykalne obcięcie finansów i zredukowanie działalności do pionu archiwalnego. Nieprzeciążeni pracą, dobrze opłacani prokuratorzy IPN powinni trafić do prokuratury, cierpiącej na braki kadrowe. A pracownicy pionów naukowych? Niech idą na uniwersytety. Byłby to prawdziwy egzamin ich poziomu wiedzy, pracowitości i postawy moralnej. Pozwoliłoby to wyeliminować propagandystów z grona historyków. Nie brakuje przecież w IPN „historyków", którzy dość dowolnie (oględnie mówiąc) wykorzystują i interpretują źródła historyczne.

Koalicja rządząca ma potężny oręż w postaci budżetu. Odebranie setek milionów złotych IPN i skierowanie ich do PAN oraz uniwersytetów, powinno być jej obowiązkiem. Przynajmniej parlamentarnej lewicy. IPN, nawet po obcięciu mu w stosunku do jego żądań 82,5 mln zł, nadal ma dwie trzecie (!) budżetu wszystkich (!) jednostek naukowych Polskiej Akademii Nauk.

Pompowanie kolejnych setek milionów w IPN jest osłabianiem polskich uczelni i PAN. Jest działaniem na szkodę polskiej nauki. IPN to worek bez dna. Wyda każdą kwotę. Zawłaszczając przy tym dorobek innych, choćby drukując publikacje nie swoich pracowników. Tymi kupionymi publikacjami szczyci się instytucja słusznie nazywana przez prof. Bronisława Łagowskiego policją historyczną. Policją, która może zrobić Polakom wiele krzywdy, bo ma w swoim składzie pion prokuratorski.

Często słychać, że koalicja rządząca nie realizuje haseł, postulatów, dzięki którym wygrała wybory, a sprawa IPN mieści się w tym zakresie. Ukrócenie wszechwładzy IPN dobrze zrobiłoby nie tylko budżetowi.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 1217c1a75a

W NUMERZE

KRAJ

8 **Szarlatani szaleją**
Politycy też dają im głos

16 **Aferzyści prezydenta RP**
Rynek kryptowalut wciąż poza kontrolą

19 **Złupić klienta przed świętami**
Pułapki sklepowych promocji

44 **Szpont zamiast 6-7**
Dla kogo Młodzieżowe Słowo Roku?

MEDIA

13 **Sygut i zespół rekonstrukcyjny**
– rozmowa z Wojciechem Krzyżaniakiem

OPINIE

24 **Piotr Kimla**
Czy Europa traktuje Ukrainę instrumentalnie?

36 **Tadeusz Klementewicz**
Kto się boi potwora katastru?

ZAGRANICA

26 **Strategia czasów wodzostwa**
Trump walczy z dawną Ameryką

30 **Francja jako hub AI**
Korespondencja z Francji

32 **Mała nacja daje przykład**
Imigranci i mniejszości w Słowenii

34 **Zdjęcia roku AFP**
Świat w obiektywie

HISTORIA

38 **Ostatnia kolonialna, pierwsza faszystowska**
Włoska wojna przeciw Etiopii

SPORT

46 **Awanse na oparach**
Późnojesienne zmęczenie piłkarzy

KULTURA

48 **Życie za srebro**
– rozmowa z Natalią Koniarz

52 **Półsny bez blasku**
Młodzi malarze – odsłona druga

54 **Qulturalia**

66 **Aukcja Świątecznych Okazji**
Licytacja dla miłośników sztuki

OBSERWACJE

56 **Bliskość luksusem przyszłości?**
Skąd poczucie samotności

EKOLOGIA

59 **Wysypisko niechcianej elektroniki**
Nasze śmieci trafiają do Ghany

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Paweł Dybicz**
Lewico, pamiętaj o IPN

23 **Jan Widacki**
Co dalej z wymiarem sprawiedliwości?

29 **Roman Kurkiewicz**
Potęga sztuki nieodwracania wzroku

51 **Tomasz Jastrun**
Gniew i wola mocy

55 **Wojciech Kuczok**
Ze wspomnień zapchajdołka

38
HISTORIA

OSTATNIA KOLONIALNA, PIERWSZA FASZYSTOWSKA
Włoska wojna przeciw Etiopii

44
KRAJ

SZPONT ZAMIAST 6-7
Dla kogo Młodzieżowe Słowo Roku?

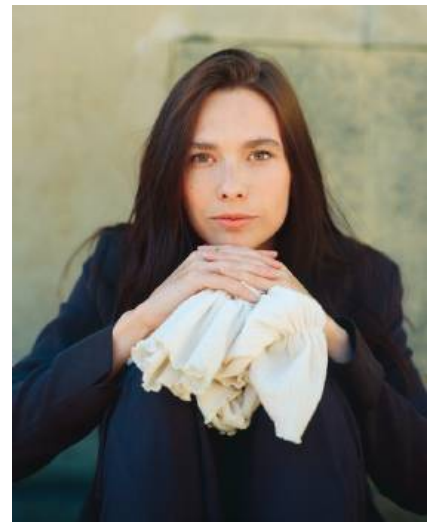

48
KULTURA

ŻYCIE ZA SREBRO
– rozmowa z Natalią Koniarz

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1217c1a75a

Śląsk to nie region, to światopogląd

Z uwagą przeczytałem rozmowę ze Zbigniewem Rokitą, autorem książki „Aglo”. Już kilka lat wcześniej ze wzruszeniem przeczytałem (i ciągle do niej wracam) inną książkę tego autora – „Kajś”. Jej tytuł został wspaniale dobrany, gdyż po prostu znaczy gdzieś i w sposób delikatny uświadamia mieszkańcom naszego kraju, że istnieje w Polsce kraina, której historia i bogactwo kulturalne są mało znane i słabo rozumiane.

ŚLĄSK TO NIE REGION, TO ŚWIATOPOGLĄD

Podróż banką po aglomeracji śląskiej

Nieco wcześniej zachwyciła mnie inna książka o Śląsku – „Czarny ogród” Małgorzaty Szejnert. Tytuł również doskonale dobrany, gdyż czarny jak węgiel, czarny jak „brudny” i zakopcony bywał w przeszłości Śląsk, czarny jak ludzka nienawiść, zawiść czy inność narodowa (chyba szczególnie po 1945 r.), a jednocześnie baśniowo-tęczowy, wielobarwny w swej różnorodności zwyczajów, architektury czy przyrody, niesłychanie rodzinny, ogród miłości i wierności wszystkich wobec wszystkich, czasem także walki wszystkich przeciw wszystkim. Ale przeważa ogród, łączący wszystkie istoty ludzkie na dobre i na złe.

Urodziłem się w Wielkopolsce, ale w latach 1971-1973 pracowałem w Katowicach, a mieszkałem w tym czasie w Rudzie Śląskiej, przy ulicy Achtelika. Do tej pory mam na Śląsku wielu przyjaciół, z którymi utrzymuję kontakt. Z okien domu roztaczał się widok na dominujące na horyzoncie sylwety huty i kopalni Bobrek. To były wspaniałe czasy, do których często wracam we wspomnieniach. Dziękuję Zbigniewowi Rokicie z całego serca, że dzięki jego książkom mam wciąż żywy Śląsk przy sobie, jakbym czuł dłonią ciemnoczerwone, wilgotne cegły, z których zbudowano familoki, a w jednym z nich przecież mieszkałem.

Marek Dankowski, obecnie Zielona Góra

1% Polaków ma 30% Polski. Jak to się stało?

Stało się tak dzięki planowi Sachsa wprowadzonemu rękami Balcerowicza. Dzisiejsze założenia gospodarki kapitalistycznej są takie, aby 1% ludzi mógł być bezgranicznie bogaty i posiadać połowę dóbr świata. 10% ludzi ma żyć dobrze i pilnować tego, żeby ten 1% mógł dalej się bogacić, fajnie i łatwo żyjąc. Pozostałe 89% ma ciężko pracować i nie dyskutować. Ci ludzie mają przymierać głodem. A jak będą mogli na coś sobie pozwolić, to na kredyt, który spowoduje, że będą pracować jeszcze ciężej. Robota tych 10% to m.in. wpajanie reszcie, że czerwony = zły. Po to, by ludzie nie chcieli przeprowadzić takiego przewrotu jak rewolucja październikowa.

I tak się dzieje na całym świecie od czasów upadku bloku socjalistycznego. A to na życzenie ludzi, którzy w krajach socjalistycznych byli najbardziej uprzywilejowaną klasą społeczną, robotnikami. Dziś ich dzieci czy wnuki są albo bezrobotnymi, albo prekariatem i odbiera im się resztki tego, co wywalczył system socjalistyczny.

Michał Czarnowski

•

Według analizy EY-Parthenon z 2025 r. w Polsce jest ok. 4 mln osób z majątkiem powyżej 400 tys. zł – i ta grupa „zakumulowała ok. 62% całkowitego majątku w kraju”. Z kolei wcześniejsze szacunki mówią, że 10% najbogatszych Polaków (gospodarstw domowych) posiadało ok. 61,7% całkowitego majątku netto. Obecnie najbogatsze 10% Polaków prawdopodobnie kontroluje ok. 60-62% całkowitego majątku netto. Górny 1% dorosłych prawdopodobnie posiada ok. 25-30% całkowitego majątku.

Marcin Konarski

Więcej na s. 36

ZDJĘCIE TYGODNIA

ZMARŁA MAGDA UMER, jedna z najbardziej znanych polskich wokalistek i autorek tekstów. W dorobku płytowym miała m.in. „Koncert jesienny”, „Gdzie Ty jesteś”, „O niebieskim pachnącym groszku” czy „Kołysanki utulanki” z Grzegorzem Turnauem. Była także aktorką, scenarzystką i reżyserką, laureatką wielu nagród. Miała 76 lat.

FOT. OLSZANKA/EAST NEWS

eprasa.pl 1217c1a75a

W Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA określono także plany wobec Polski. „Austria, Węgry, Włochy i Polska znajdują się na liście krajów, z którymi Stany Zjednoczone powinny zwiększyć współpracę… w celu odciągnięcia ich od Unii Europejskiej". Amerykanie mają już w Polsce wykonawców tej strategii, z prezydentem Nawrockim na czele.

•

Połączone izby Sądu Najwyższego: Kontroli Nadzwyczajnej oraz Pracy, orzekły, że Polska nie przekazała organom Unii Europejskiej kompetencji do stanowienia norm regulujących organizację i funkcjonowanie krajowego wymiaru sprawiedliwości ani zakresu, w którym mogą one być stosowane.

•

Nie ma już Centralnego Portu Komunikacyjnego (CPK), przeszedł do historii. Jest nowe otwarcie i **Port Polska**. Pierwsze prace budowlane mają ruszyć w przyszłym roku. Podpisano już umowy na kwotę 4,5 mld zł.

•

Stowarzyszenia naukowo-techniczne sfederowane w Naczelnej Organizacji Technicznej (NOT) rozpoczęły nową kadencję z prezes **Ewą Mańkiewicz-Cudny** i członkami zarządu głównego: **Włodzimierzem Adamskim** (SIMP), **Dawidem Myszką** (STOP), **Jackiem Pasiem** (SITK RP), **Tadeuszem Pawłowskim** (SIMP), **Markiem Siarą** (SITP) i **Kamilem Wójcikiem** (SWTP).

•

Szymon Hołownia nie zostanie wysokim komisarzem ONZ ds. uchodźców. Funkcję tę obejmie były prezydent Iraku Barham Salih.

•

Prof. Przemysław Czapliński z Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu został laureatem **Nagrody im. Tadeusza Kotarbińskiego** za książkę „Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976-2020".

•

Nagrodę Historyczną m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego otrzymali **Rafał Wnuk i Sławomir Poleszak**, autorzy książki „Niezłomni czy realiści? Polskie podziemie antykomunistyczne bez patosu".

•

6,57 mld zł będzie kosztowała produkcja 111 pływających wozów bojowych piechoty Borsuk wraz z pakietem szkoleniowym i logistycznym.

•

Koncern Jerónimo Martins, właściciel sieci Biedronka, został ukarany przez UOKiK za mogące wprowadzić w błąd informacje o akcjach promocyjnych. Ma zapłacić 105 mln zł.

•

Pierwsze zdjęcia przesłał polski satelita wojskowy. Za jego budowę odpowiadała firma ICEYE. Ujęcia mają rozdzielczość 25 cm, określaną jako najlepsza na świecie. Satelita obserwuje Ziemię w dzień i w nocy. Radzi sobie z chmurami i mgłami.

•

W mistrzostwach świata w piłce nożnej, które zostaną rozegrane w USA, Meksyku i Kanadzie od 11 czerwca do 19 lipca przyszłego roku, reprezentacja Polski zagra (jeśli awansuje) z Holandią, Japonią i Tunezją.

•

Od 2019 r. przybyło 700 tys. psów i jest ich w Polsce już 8,4 mln. Kotów jest 7,5 mln, bo przybyło ich 1,1 mln.

PRZEBŁYSKI

Waluś na posła

Ryba psuje się od głowy. Losy Legii Warszawa są brutalnym dowodem. Klub nie ma prezesa. W realu. Bo na papierze jest nim Dariusz Mioduski. Teoretycznie ma ogromną władzę. Jest przecież także właścicielem klubu. Może więc prawie wszystko. I co? Legią rządzą kibole z Żylety. A nimi bojówkarze z Teddy Boys 95. Kilkadziesiąt osób, które działają jak mafia. Mają kasę, bo handlują narkotykami na wielką skalę. Policja sobie nie radzi. A miasto? Stadion jest przecież jego własnością. Kosztował 374 mln zł. Zapłacili za niego podatnicy.

Prezydent Trzaskowski ma instrumenty, by wraz z policją przywrócić prawo na trybunach. Nie robi tego, więc Żyleta fetuje Walusia i Brauna. I czekają, aż Waluś i jemu podobni za dwa lata będą posłami.

Móżdżek doradcy

O tym gościu już dawno mieliśmy napisać, ale wyprzedziło nas „Nie". Alvin Gajadhur z hindusko-polskiej rodziny nieustannie ośmiesza swoich pobratymców. Jednak jakąś karierę, chociaż „Nie" napisało o nim, że „jest przeraźliwym głupkiem", zrobił. Dzięki PiS. Z rzecznika prasowego Inspekcji Transportu Drogowego skoczył na fotel ministra infrastruktury. Pewnie z łapanki. Bo mądrzejsi nie chcieli tego brać na klatę. Gajadhur wziął. Czekamy na wyniki kontroli jego rządów.

Gdy był doradcą Dudy, wychwalał go pod niebiosa. To samo robi jako doradca Nawrockiego. Można powiedzieć, że robi z siebie głupka za darmo, bo jest doradcą społecznym.

Nykiel na kolanach

Twarde chłopy płakały jak bobry, czytając pożegnanie Marzeny Nykiel („Sieci") z abp. Markiem Jędraszewskim, metropolitą krakowskim. Duchowym przewodnikiem ludu pisowskiego. • Gorliwa i piękna posługa • Niezwykłe oddanie i uczciwość • Nie bacząc na ciosy, mężnie bronił • Głos wyczekiwany i krzepiący • Upomina, broni, nie pozwala • Jasno wskazuje • Nie daje się zastraszyć.

Sam Jędraszewski lepiej by o sobie nie napisał. Podejrzewamy, że Nykiel korzystała z pomocy Karnowskiego i jego zaufanych pomagierów. A może swoje dołożyła sztuczna inteligencja? W ramach ćwiczeń z pisania na kolanach.

Kowalski atakuje Zamość

Posłowi Januszowi Kowalskiemu do emerytury brakuje, poza obecną kadencją, jeszcze czterech. Dużo, ale jak gość nie ma innego pomysłu na życie, to będzie kurczowo się trzymał polityki. Po samolikwidacji Solidarnej/Suwerennej Polski i ucieczce Ziobry na Węgry uznał, że najwyższy czas ewakuować się z rodzinnego Opola. Tam go dobrze poznali i prędzej wybiorą jakiegoś przechodnia niż Kowalskiego. Co więc robi pocieszny Januszek?

Dymi w odległym o pół tysiąca kilometrów Zamościu. Straszy ludność banderowcami, pederastami i eurokołchozem. Założył już sobie biuro poselskie przy Żeromskiego.

Myśli, że na takim szczekaniu trafi do Sejmu. Jeśli oczywiście PiS w tej postaci dociągnie do 2027 r. A co, jeśli Kowalski okaże się Jonaszem i po partii Ziobry zatopi także statek Kaczyńskiego?

FOT. PRZEMYSŁAW KELER/KPRP, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, YOUTUBE, TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 1217c1a75a

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy jesteśmy bardziej wschodem, czy zachodem Europy?

PROF. RADOSŁAW MARKOWSKI,
profesor nauk społecznych, Uniwersytet SWPS

To zależy. Jeśli patrzeć na wielkie podziały religijno-kulturowe, należymy do zachodniego chrześcijaństwa, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Jednak w takich kwestiach jak odpowiedzialność za dobro wspólne czy kapitał społeczny często bliżej nam do Wschodu. W życiu publicznym wciąż brakuje myślenia o dobru wspólnym, a na scenie politycznej funkcjonują partie sprzyjające autorytarnym, antyeuropejskim wizjom świata. To pokazuje, że część społeczeństwa ma mentalność bardziej wschodnią. Z niewielkim szacunkiem dla procedur i dla prawa, które w kulturze zachodniej stoi ponad czyimkolwiek widzimisię. Widać to choćby po politykach odnoszących się z lekceważeniem do obowiązującej konstytucji.

DR HAB. JACEK WASILEWSKI,
profesor nauk społecznych, Uniwersytet Warszawski

Polska jest jednocześnie i wschodem, i zachodem Europy. Pokazuje to zarówno historia, jak i współczesność. W naszej kulturze mieszają się wpływy obu stron: od „czaju" i tradycji wschodnich po zachodnie zapożyczenia językowe, militarne czy kulturowe. W literaturze, modzie i mediach społecznościowych jesteśmy dziś wyraźnie prozachodni, nawet proamerykańscy, choć w innych obszarach, takich jak dieta czy codzienne nawyki, pozostajemy podzieleni. Nasze położenie „pomiędzy" daje nam jedyną w swoim rodzaju zdolność rozumienia Wschodu, szczególnie Rosji, lecz nie zawsze umiemy to wykorzystać. Żyjemy więc w swoistym kulturowym szpagacie, który, zamiast dzielić, mógłby się stać źródłem siły.

ZIEMOWIT SZCZEREK,
dziennikarz, prozaik

Można, jak pokazuje przykład Finlandii, być geograficznie Wschodem, ale kulturowo, politycznie i sojuszowo Zachodem. A przykład Grecji pokazuje, że można być kulturowym Wschodem czy nawet Orientem, politycznie zaś leżeć na Zachodzie. Polska jest kulturowo zachodnia. A kiedy wschodnieje politycznie, od razu to widać, również w przestrzeni publicznej i krajobrazie kulturowym. I odwrotnie. Obecnie na szczęście jesteśmy po zachodniej stronie. Dziś Waszyngton chce wyciągnąć Polskę z Unii Europejskiej. Niby zatrzymać na Zachodzie, ale trudno w to uwierzyć. Widzę, że stereotypowy wizerunek Polaka idioty ma się wśród trumpistów dobrze. Biały Dom ogłosił, że ta ujawniona przez prasę „rozszerzona" wizja nowej polityki międzynarodowej to fake news, ale nie wiem, komu mam bardziej ufać, prasie czy Białemu Domowi, który co chwila robi z prawdy żarty. NATO właśnie przez Amerykanów się chwieje, z Unii, która buduje własne siły, chcą nas wyciągnąć, a jedyne „gwarancje", jakie mamy, to poklepywanie po plecach, że jesteśmy „specjalnym sojusznikiem". Czy np. Ukraina przyjęłaby takie gwarancje?

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 1217c1a75a

SZARLATANI SZALEJĄ

Piewcy medycyny alternatywnej zyskują coraz większy poklask. Wszystko przez internetową dezinformację i polityków szukających kolejnych głosów

Kornel Wawrzyniak

Kobieta umierała na chłoniaka. Jeden z popularniejszych w internecie szarlatanów zalecił jej branie suplementów, za które zapłaciła, bagatela, 10 tys. zł. Jak można się domyślać, pacjentce się nie polepszało. Na szczęście w porę zgłosiła się po pomoc onkologiczną i udało się ją uratować. Sprawa trafiła do prokuratury. Szarlatan stwierdził podczas przesłuchania, że przyjął kobietę jako duchowny Kościoła Naturalnego, a nie lekarz. Wymigał się. Historię nagłośniła Wirtualna Polska – bada ją Rzecznik Praw Pacjenta, a prokuratura wznowiła śledztwo. Ten sam szarlatan kilka tygodni temu był obecny w Sejmie, na posiedzeniu komisji dotyczącym zdrowia Polek i Polaków. Takich „specjalistów" w budynku przy Wiejskiej pojawiło się więcej. Kto ich zaprosił i po co?

Ręka w rękę

17 listopada 2025 r. w Sejmie odbyło się posiedzenie Parlamentarnego Zespołu ds. Ochrony Życia i Zdrowia Polaków. W jego skład wchodzą posłowie Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej. Jaki był temat spotkania? „Żywność jako narzędzie manipulacji". Przemawiała m.in. kontrowersyjna prof. Grażyna Cichosz, której antynaukowe tezy wypowiedziane w programie Bogdana Rymanowskiego prostowali naukowcy i dietetycy. Był też Andrzej Kawka, który na co dzień przedstawia się jako dietetyk. Do lutego br. współtworzył na YouTubie kanał z naturopatą Oskarem D., który 3 lutego został zatrzymany przez policję. Mężczyzna usłyszał zarzuty narażenia pacjentki z nowotworem na utratę życia lub zdrowia oraz udzielania świadczeń medycznych bez zezwoleń. Zarzucono mu także pranie brudnych pieniędzy i oszustwa podatkowe.

Do zaproszonej przez polityków Konfederacji „śmietanki" dołączył również Hubert Czerniak, jedna z najsławniejszych postaci w kręgach medycyny alternatywnej. To lekarz pozbawiony prawa wykonywania zawodu, mentor Oskara D. Właśnie o Czerniaku wspominałem na początku artykułu.

Była poza tym Justyna Socha, działaczka ruchów antyszczepionkowych i kandydatka na posłankę z list Konfederacji. Kobieta została skazana w drugiej instancji za zamieszczenie w mediach społecznościowych, na profilu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Wiedzy o Szczepieniach STOP NOP, wpisu,

Jerzemu Ziębie, propagatorowi pseudomedycyny, wytoczony został proces za sprzedaż „produktów leczniczych" bez zezwolenia. Warszawa, 30 marca 2023 r.

Andrzej Kawka, współpracownik Oskara D., na planie „Dzień dobry TVN". Warszawa, 3 listopada 2025 r.

Tomasz Sz., który leczył chorych „generatorami plazmy" i lampami, zakazując terapii medycznych, stanął przed Sądem Rejonowym Katowice-Wschód. 25 marca 2025 r.

eprasa.pl 1217c1a75a

w którym zasugerowała, że lekarze podają pacjentom leki prowadzące do przedwczesnej śmierci.

Zaproszeni na sejmowe spotkanie szarlatani głosili przeróżne antynaukowe tezy i nikt tych stwierdzeń nie weryfikował. Trudno się dziwić, że reporter Michał Janczura nazwał to w Wirtualnej Polsce „sabatem szarlatanów".

Spotkanie otworzył Roman Fritz, poseł Konfederacji Korony Polskiej, który straszył, że toczy się właśnie „potworna walka", i zwrócił się do prof. Cichosz: „To, że słyszymy ten kwik pseudoelit lewackich, które się wylewają z mediów i nie tylko, świadczy o tym, że pani profesor i całe środowisko, które za panią stoi, naruszyliśmy jakieś tabu i trafiliśmy w czuły punkt całego systemu".

Czy Fritz rzeczywiście uważa poglądy zaproszonych szarlatanów za zgodne z prawdą, to odrębna kwestia, warto jednak się zastanowić, dlaczego środowisko antynaukowe tak bardzo się lubi z obozem politycznym tzw. antysystemowców. Jest w tym bowiem głębszy polityczny sens, niż mogłoby się wydawać. Chodzi o psychologię teorii spiskowych.

Mechanizm

Dziś dawanie pola krzewicielom teorii spiskowych jest kluczem do pozyskiwania głosów. Jedni opowiadają o ludziach jaszczurach albo o płaskiej Ziemi, drudzy wyznają teorię spisku Big Pharmy. Mamy oto wersję rzeczywistości, w której chce się nas leczyć, ale nie wyleczyć. Bardzo dobrze opisuje to dr Piotr Tarczyński w książce „Oślizgłe macki, wiadome siły. Historia Ameryki w teoriach spiskowych".

Z surrealistycznych opowieści internetowego ruchu QAnon, którego członkowie twierdzą, że całym światem rządzi spisek czczących szatana pedofilów-kanibali, narodziła się potężna siła polityczna. „QAnon brzmiał niepoważnie, więc nie traktowano go poważnie, ale było to błędne myślenie: kultura internetowa, choć dla mainstreamu często obca, niezrozumiała, a wręcz po prostu głupia, jest ważnym elementem dzisiejszej polityki, którego nie sposób ignorować. Angela Nagle w książce »Kill All Normies« dobrze pokazała, jak sieciowy trolling przyczynił się

Hubert Czerniak, lekarz pozbawiony prawa wykonywania zawodu, mentor Oskara D.

Justyna Socha, działaczka ruchów antyszczepionkowych, na konferencji prasowej Konfederacji Korony Polskiej. Warszawa, 22 października 2025 r.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, ANITA WALCZEWSKA/DDTVN/EAST NEWS, PRZEMYSŁAW GLUMA/AGENCJA SE/AST NEWS, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, PLATFORMA X, YOUTUBE.COM (2), PAP/GRZEGORZ MOMOT

eprasa.pl 1217c1a75a

do radykalizacji młodych mężczyzn, powstania alt-right czy wygranej Trumpa", pisze Tarczyński.

Medycyna alternatywna opiera się na tym samym schemacie, co inne teorie spiskowe. Psycholog Jan-Willem van Prooijen w książce „Psychologia teorii spiskowych" wyróżnia trzy czynniki składające się na ich powszechność.

Po pierwsze, teorie spiskowe mają źródło w silnych ideologiach. Po drugie, biorą się ze zniekształcenia powszechnych, funkcjonalnych procesów poznawczych, zwłaszcza z dostrzegania schematów i wykrywania sprawczości – niektórzy ludzie dostrzegają schematy w przypadkowych zdarzeniach, często gdy towarzyszy im poczucie zagrożenia i niepewności. Wyznawcami teorii spiskowych mogą być więc osoby inteligentne i nad wyraz spostrzegawcze. Po trzecie, źródłem teorii spiskowych jest konflikt międzygrupowy. To najważniejszy dla naszych rozważań punkt, ponieważ pozwala wyjaśnić, dlaczego politycy Konfederacji i Konfederacji KP wpuszczają szarlatanów do Sejmu. Człowiek jako istota społeczna pragnie przynależeć do jakiejś grupy. Wykluczenie społeczne jest zaś jednym z najbardziej awersyjnych doświadczeń w życiu. Van Prooijen stwierdza, że podkopuje ono poczucie własnej wartości. „Instynktownie czujemy potrzebę łączenia się ze znaczącymi innymi oraz tego, by powstałą w ten sposób zbiorowość nazywać »my« – tłumaczy autor „Psychologii teorii spiskowych". – Uczucia niepewności i strachu sprawiają, że skłonność do kategoryzowania ludzi na »nas« kontra »ich« wzmacnia się, co napędza konflikt międzygrupowy". Ludzie uczestniczący w takim konflikcie postrzegają grupę, do której przynależą, jako wyższą moralnie.

W skład Parlamentarnego Zespołu ds. Ochrony Zdrowia i Życia Polaków wchodzą posłowie Konfederacji oraz Konfederacji Korony Polskiej.

Kto jest więc najbardziej podatny na wiarę w teorie spiskowe? „Zarówno zwolennicy radykalnego konserwatyzmu, jak i zdecydowani lewicowcy wyróżniają się większą wiarą w teorie spiskowe niż ludzie, których poglądy są umiarkowane. Do tego dochodzi jednak większa popularność teorii spiskowych na prawicy niż na lewicy", podsumowuje współautor badań i artykułu na ten temat opublikowanego w „Nature Human Behaviour", psycholog dr hab. Michał Bilewicz, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, w rozmowie w serwisie Nauka w Polsce.

Jak sklasyfikować zwolenników medycyny alternatywnej, którzy zawierzają swoje życie szarlatanom? W końcu nie wszystko opiera się na polityce. Mamy też grupę osób, które przyciąga do medycyny alternatywnej romantyczna tęsknota za życiem poza systemem. W tej grupie są również miłośnicy stylu New Age. Ta kontrkultura kładzie nacisk m.in. na holistyczne uzdrawianie łączące elementy mistyki i nauk Dalekiego Wschodu, takie jak medytacja, moc

Szarlatan z serialu WP z kolejnymi zarzutami. Naturopata Oskar D. do sierpnia w areszcie

Sąd przedłużył o kolejne trzy miesiące areszt wobec Oskara D. 25-latek bez choćby średniego wykształcenia, którego opisaliśmy w serialu "Szarlatan", usłyszał też kolejne zarzuty narażenia chorych. Kobiecie z nowotworem zalecił odczynniki chemicznej i leki dla zwierząt. Po jego "terapii" witaminą D młoda pacjentka trafiła do szpitala.

Oskar D. - naturopata, który na krzywdzie pacjentów zarobił fortunę

Oskar D., zatrzymany przez policję 3 lutego br., usłyszał zarzuty narażenia pacjentki z nowotworem na utratę życia lub zdrowia i udzielania świadczeń medycznych bez zezwoleń.

Podczas posiedzenia Parlamentarnego Zespołu ds. Ochrony Zdrowia i Życia Polaków prof. Grażyna Cichosz przedstawiła wyniki badań, które miały wskazywać na związek między autyzmem a karmieniem dzieci mieszankami sojowymi. Warszawa, 17 listopada 2025 r.

eprasa.pl 1217c1a75a

kryształów czy astrologia. Równocześnie odżegnuje się często od tradycyjnej medycyny.

To zjawisko pomaga zrozumieć prof. Michael Barkun, który w książce „A Culture of Conspiracy: Apocalyptic Visions in Contemporary America" rozróżnia trzy podstawowe typy teorii spiskowych: spiski zdarzeń, spiski systemowe i superspiski. Teorie o Big Pharmie i zmowie lekarzy, którzy mają łapać pacjentów w sidła nieustającego leczenia, mieszczą się w kategorii spisków systemowych. „Te teorie mają większy rozmiar i zakres: zamiast próbować wyjaśnić odrębny zestaw faktów lub zdarzeń, przypisują spiskowcom spowodowanie gamy wypadków w wielu miejscach, w długim czasie, w różnych dziedzinach życia. Taki spisek nie ogranicza się tylko do wąskiego zestawu działań, ale jest postrzegany jako organizacja, która infiltruje wiele instytucji i środowisk – rząd, biznes, środowisko akademickie, media itd. – i wywiera na nie wpływ", wyjaśnia zjawisko spisku systemowego Tom Phillips w książce „Spisek. Czyli kto nam wszczepia czipy i inne popier…one teorie".

Złożoność kontra pewność

Dziennikarz WP Michał Janczura przeprowadził śledztwo w sprawie wspomnianego Oskara D. i jego działalności. Wyniki dochodzenia zostały przedstawione w cyklu reportaży „Szarlatan". Oskar D. od lat promował w internecie tezy, że choroby nowotworowe można leczyć za pomocą suplementów diety. Janczura opisuje m.in. historię pani Ewy, która usłyszała od naturopaty, że wyleczy raka piersi, biorąc odpowiednie specyfiki. Dlaczego kobieta zaufała właśnie jemu, a nie trzem radiologom? Chodzi o mechanizm prostych odpowiedzi na trudne pytania i szerzoną przez szarlatanów dezinformację medyczną. Lekarze znaleźli guza, odpowiednio go sklasyfikowali i stwierdzili duże prawdopodobieństwo nowotworu złośliwego. Pacjentka musiała tylko pójść na biopsję, aby potwierdzić diagnozę. Nie poszła. Dlaczego? Przeczytała w internecie, że biopsja rozsiewa komórki rakowe po całym organizmie. To oczywiście stwierdzenie wyssane z palca, lecz bardzo popularne na wszystkich grupach internetowych dotyczących medycyny alternatywnej czy naturopatii. „Nie pozwólcie sobie zrobić żadnej biopsji, bo każda biopsja to jest rozsianie. Jeśli macie, nie daj Bóg, nowotwory złośliwe, to rozsiewacie, minimalizujecie swoje szanse przeżycia", mówił Hubert Czerniak w audycji „Zdrowie bez cenzury" w serwisie Rumble.com.

Szarlatan, który zalecił kobiecie chorej na chłoniaka branie suplementów, był obecny w Sejmie na posiedzeniu komisji dotyczącym zdrowia Polaków.

Marek H. „leczył" półroczną Magdę. Został oskarżony o sprawstwo kierownicze, bo przez jego pseudolekarskie porady rodzice głodzili dziewczynkę, co doprowadziło do jej śmierci. Sąd Rejonowy w Nowym Sączu, 30 września 2015 r.

Takimi opowieściami szarlatani podbijają strach i niepewność pacjentów. Internetowi znachorzy mają konkretną strategię komunikacyjną. Sposób mówienia, charyzma i atmosfera spisku sprawiają, że odbiorcy zaczynają im ufać. Kiedy pacjent się boi, naturalnym odruchem jest szukanie dodatkowych informacji, aby jakoś się uspokoić. I żadna w tym wina medyków. Taki charakter mają medycyna i ogółem nauki biologiczne. Jest w nich wiele odcieni szarości. Można powiedzieć, że medycyna jest taką „artystyczną duszą" wśród nauk ścisłych. Niektórzy teoretycy twierdzą nawet, że, przez swoją zmienność i dynamiczność, wymyka się prostej definicji nauk ścisłych, w których bezsprzecznie rządzi matematyczna powtarzalność.

Tymczasem szarlatani, w przeciwieństwie do lekarzy, dają proste odpowiedzi i równie proste rozwiązania – wszak mniej przerażająca jest perspektywa łykania tabletek i picia ziółek niż operacji w szpitalu, prawda? Zachodzi jednak tutaj bardzo ciekawe zjawisko komunikacyjne. Lekarzy od lat uczy się, by chowali wykształcenie do kieszeni i mówili do pacjentów prostym, zrozumiałym językiem, bez przesadnego eksponowania słownictwa medycznego. W bioetyce od lat bardzo ważnym tematem jest tzw. świadoma zgoda. Z pacjentem trzeba się komunikować w sposób zrozumiały, tak aby w 100% wiedział, na jaką terapię się zgadza i jak ona działa.

I nagle paradoks. Szarlatani działają dokładnie odwrotnie. Opowiadają głupoty przy użyciu specjalistycznego słownictwa. Ale nadal dają proste odpowiedzi na trudne pytania. Oskar D. zapewniał podczas konsultacji chorą na nowotwór panią Ewę, że wszystko będzie dobrze, wystarczy brać zestaw suplementów. Dużą rolę odgrywa w tym mechanizmie sama postawa mówcy i aura, jaką roztaczają „specjaliści". Większość szarlatanów, często tytułująca się profesorami i doktorami, bardzo dba o nienaganność językową. Można powiedzieć, że ta komunikacja jest cała „pod krawatem". To dobrzy mówcy. Są na tyle przekonujący, że

eprasa.pl 1217c1a75a

potrafią namówić złapane w ich sieć zdesperowane osoby nawet na picie rozpuszczalnika.

Szarlatani się sieciują

„Pani Ewa leczyła się tak, jak naturopata przykazał. Sumiennie zażywała codziennie kilkanaście suplementów zapisanych przez Oskara D. Magda (córka pani Ewy) twierdzi, że mama płaciła za to w »tysiącach« złotych. Dziś dokładnej kwoty nie jest w stanie podać. W trakcie »terapii« pytała nawet, czy nie jest tego za dużo. Odpowiadał (Oskar D. – przyp. K.W.), że Czerniak przepisuje więcej. Wśród specyfików była kurkumina, bor, krzem, jod, olejek CBD i wiele innych. Wszystkie do zamówienia przez internet z określonych stron. D. zalecił pani Ewie nawet DMSO. Ta ostatnia substancja to odczynnik chemiczny, rozcieńczalnik", opisuje w reportażu Michał Janczura.

Chociaż internetowi uzdrowiciele zgodnie z psychologią teorii spiskowych twierdzą, że lekarze i Big Pharma spiskują przeciwko pacjentom, sami stworzyli sieć zależności, w którą łapią chorych. Doskonałym przykładem jest wyżej opisywana sytuacja. Kiedy pani Ewa nie mogła się dostać do popularnego dr. Czerniaka, została przekierowana do jego protegowanego Oskara D. Ten zaś zalecał kupowanie bardzo drogich suplementów ze ściśle określonych stron. A to dokładnie ten mechanizm, przed którym przestrzegają szarlatani. Koncerny farmaceutyczne mają przecież w tej narracji łapać „nieoświeconych" pacjentów w sidła swoich produktów.

Naturopaci i znachorzy działają prężnie w internecie. Nie chodzi wyłącznie o porady za pośrednictwem Facebooka. Mówimy o sklepach i własnym czasopiśmie „HARMONIA. Twoje zdrowie, Twoja odpowiedzialność". Stałym autorem jest tam niesławny Jerzy Zięba. Ten propagator pseudonauki był jedną z twarzy cyklicznych konferencji i targów pod hasłem „Czego Ci lekarz nie powie". Na wydarzenie w zeszłym roku zjechali szarlatani z całej Polski. Jeszcze więcej osób przyjechało ich zobaczyć i kupić prezentowane produkty.

Szarlatani są wobec chorych bezwzględni, bo w grę wchodzą naprawdę duże pieniądze. Pakiet książek Zięby na wspomnianych targach kosztował ponad 200 zł. Jeden z bardziej kontrowersyjnych sprzętów to generator wodoru. Koszt – nawet 3 tys. zł. Sprzedawcy twierdzą, że leczy nowotwory, alzheimera, zwalcza wolne rodniki, no i oczywiście pomaga na katar. Takich cudów jest znacznie więcej. „Fototerapia" to specjalne plastry, które według sprzedawców są tak naprawdę bioelektrodami. Ten plas… pardon, bioelektroda, jeśli ją przykleić w odpowiednim miejscu, ma zatrzymywać nasze własne światło wewnątrz organizmu, a to światło już nas samo uleczy. Czy 299 zł za wyprodukowany w USA plaster zwalczający ból i przywracający poczucie wewnętrznej równowagi to dużo?

Reporter Michał Janczura w Wirtualnej Polsce nazwał spotkanie zespołu ds. ochrony zdrowia „sabatem szarlatanów".

Mamy też całą listę suplementów, które szarlatani zapisują chorym, nie zważając na ich stan. Oszuści utrzymują chorych w przekonaniu, że tabletki i olejki wystarczą. Koszty idą w tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy złotych.

Wchodzę na stronę ukryteterapie.pl – trafiam na Liposomalną Bajkalinę za 213 zł za opakowanie. Czytam, że głównym składnikiem jest korzeń tarczycy bajkalskiej *Scutellaria baicalensis Georgi*. Zastanawiacie się państwo, co się kryje pod tą nazwą? To zioło popularne w medycynie chińskiej. Część zielarzy śmieje się, że to takie panaceum. Jednocześnie raportowano serie przypadków ostrego uszkodzenia wątroby z żółtaczką powstającą po miesiącu-trzech miesiącach od rozpoczęcia suplementacji.

W głośnej sprawie naturopaty Oskara D. prokuratura udowadniała, że mężczyzna m.in. odwodził chorą na raka od kontynuacji leczenia onkologicznego, a w zamian proponował właśnie suplementy. Prokuratura ustaliła, że w latach 2023-2024 osiągnął przychód w wysokości niemal 4,2 mln zł. Koszt wizyty u D., który udzielał świadczeń medycznych bez zezwoleń, wynosił nawet 350 zł.

Jak z tym walczyć?

Po pierwsze, systemowo. Rzecznik Praw Pacjenta zapowiadał w rozmowie z Wirtualną Polską, że jeszcze w 2024 r. będą gotowe przepisy, które pomogą zwalczać znachorów i szarlatanów. Za diagnozowanie i leczenie niezgodne z aktualną wiedzą medyczną ma grozić nawet 500 tys. zł kary. Jednak lex szarlatan, jak się wydaje, grzęźnie. RMF FM dotarło do informacji w Ministerstwie Zdrowia, że ustawa wymierzona przeciwko szkodliwej pseudomedycynie jest na finiszu. Pytanie, czy koalicja rządząca będzie miała odwagę przepchnąć ją przez Sejm. Możemy się też spodziewać, że uśmiechający się cały czas w stronę wyborców Konfederacji prezydent Nawrocki taką ustawę z automatu zawetuje.

Po drugie, musimy kształcić społeczeństwo. Szczególnie w zakresie dezinformacji. Według ostatniego badania Eurobarometru 50% Polek i Polaków uważa, że wirusy powstają w laboratoriach jako narzędzie kontroli populacji. Przed nami w tych statystykach jest tylko Portugalia, z wynikiem 62%. Średnia dla UE to 35%. Nad Wisłą 34% osób uważa poza tym, że rząd ukrywa lek na raka.

Czy w kontekście takich danych można mieć pocieszające wnioski? Przecież statystycznie połowa osób, które przeczytały ten tekst, nie uwierzyła mi i uważa, że napisałem go na zlecenie Big Pharmy. Pozostaje mi tylko zapakować foliową czapeczkę i wyjechać do Graceland na spotkanie z Elvisem.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1217c1a75a

Sygut i zespół rekonstrukcyjny

Dziś TVP Info jest tak nudne i słuszne, że zęby bolą, jak się to ogląda

Rozmawia Robert Walenciak

WOJCIECH KRZYŻANIAK
– były dziennikarz (m.in. „Gazety Wyborczej", Onetu, „Newsweeka", TOK FM), analityk mediów, szczególnie telewizji

To są oficjalne dane. Jeżeli porównamy minione 12 miesięcy, według badań Nielsena najbardziej straciła w ostatnim czasie TVP 1, udziały w rynku spadły jej niemal o 10%. Jest pan tym zaskoczony?

– A czy to jest najważniejsze? Może bardziej istotne jest, by media publiczne, zamiast ścigać się z komercyjnymi na oglądalność, przyzwyczajały widzów do jakości? Spróbujmy porównać się do BBC. Wiem, że to brzmi banalnie, że to zniszczone porównanie, ale już tłumaczę, o co mi chodzi. Otóż kilka lat temu jeden z jej szefów powiedział, że najważniejsza dla niego jest jakość. Mówił to, mając na myśli najprostszego człowieka i jego proste potrzeby kulturalne, które nie są specjalnie wyrafinowane.

Czyli?

– Podam przykład. Obrażaliśmy się, jak u nas był program „Gwiazdy tańczą na lodzie". W publicznej telewizji! A przecież to jest format BBC. Oni pierwsi to dali. To nie był prosty komercyjny występ. Tam było to coś aspiracyjnego. Byłem u nich na planie tego tańca na lodzie. Najważniejsze, co mówili: wszystko miało być piękne. Taniec, muzyka, prowadzenie. Żeby u widza rozbudzić aspiracje, żeby chciał szukać czegoś wyżej.

A u nas?

– U nas wszystko jest płaskie. Na tym samym poziomie. Dla widza nie ma różnicy między telewizją publiczną a komercyjnymi. Więc po co przepłacać? Nie ma sensu płacić abonamentu, gdy treści są miałkie.

Łatwo powiedzieć.

– Trudno zrobić. Bo do tego trzeba fachowców, a nie kolegów, prawda? Jeśli zatem pyta mnie pan o telewizyjną Jedynkę, że ma największy spadek, odpowiadam: moim zdaniem to wynika z miałkości oferty. Z braku identyfikacji tego kanału. Bo co to jest ta Jedynka? Ludzie muszą mieć poczucie, że choć płacą abonament, to warto; że dzięki temu mogą dotrzeć do treści, które same w sobie są istotne.

Faktycznie są istotne?

– Do tego zmierzałem. Jak patrzę na seriale „Drelich" czy „Pan Mama", no sorry, ale nie sądzę, że to jest istotne. Powiem więcej, to jest nawet bardzo nieistotne. Zanim powstał „Drelich", była książka. Świetna! Tylko to w ogóle nie jest do telewizji publicznej. To czysta rozrywka, która powinna być przypisana do telewizji komercyjnej. Nie ma nic poza warstwą zwykłej opowieści.

A co powinno być?

– Jedynka, Dwójka trzymają się serialami. Ale te, które dziś powstają, są nieprzemyślane. Nie nadają się do mediów publicznych. I nie chodzi mi o to, żeby były nudne jak budyń. Weźmy serial „Pan Mama". To bardzo ciekawy temat, który można ruszyć. Ale czy oni go ruszyli? Jest tam jakiś scenariusz? Poza tym nawet nie wiadomo, o której serial jest emitowany. Raz jest tak, raz siak. Skacze po ramówce. A telewizja nie lubi nerwowości. Zmiana pasma jest ostatecznością i przyznaniem się do błędu. Jeżeli zmienia się pasmo, to znaczy, że się nie przerobiło tematu, zanim się ruszyło z produkcją.

To wygląda, jakby najpierw kupiono format, a potem szukano dla niego publiczności.

– I są nerwowe ruchy. Zobaczmy, ile programów w TVP szaleje po ramówce. Obłęd! Jakby był jeden taki program, to luz, można raz z czymś nie trafić, zdarza się. Tymczasem wygląda to tak, że wrzucamy coś do ramówki i potem szukamy temu miejsca. Czyli albo ktoś nie przemyślał, co kupuje i zamawia, albo na siłę ktoś na kimś wymógł program.

> Dla widza nie ma różnicy między telewizją publiczną a komercyjnymi. Bez sensu płacić abonament, gdy treści są miałkie.

eprasa.pl 1217c1a75a

Obydwa warianty chluby TVP nie przynoszą.

– Patrzę na tych producentów, na seriale, które zamawia TVP. Na ceny. „Pan Mama", o którym rozmawiamy – różne sumy padają, ale ja tych pieniędzy w nim nie widzę. Wygląda to tanio. Jest jeszcze gorsza rzecz – nuda. Bardzo mnie zawiodło, że w Jedynce nie ma nowych pomysłów. Nawet nie zrobili zapowiedzi jesiennej ramówki.

Tłumaczyli, że muszą oszczędzać.

– To wykręt! Kurski zrobił prezentację w holu telewizji! Jakież to pieniądze? Myślę, że po prostu nie mieli czego zapowiadać.

Telewizja publiczna chwali się najbardziej oglądanym programem w miesiącu, a to był mecz.

– Było to jeszcze za telewizji Kurskiego, miałem wtedy podobną rozmowę, jeden z dyrektorów chwalił się, że miał transmisję z meczu i superwynik oglądalności. Więc dziś, gdy telewizja publiczna mówi mi o takim sukcesie, odpowiadam tak samo jak wtedy ludziom od Kurskiego: jeżeli pan mi się chwali transmisją sportową, to znaczy, że pan jest w takiej d… że panu nic innego nie wyszło. Bo pan nic nie zrobił, nawet kamery pan tam nie ustawił, bo to robią firmy zewnętrzne.

Czym w takim razie telewizja mogłaby się pochwalić?

– Trzeba żyć życiem ludzi. Jeżeli chodzi o treści serialowe, z przyjemnością wróciłbym do pomysłów związanych z Iloną Łepkowską. Podaję jej nazwisko jako symbol.

„Klan", „Barwy szczęścia", „M jak miłość", „Na dobre i na złe"… Te sprzed dziesięciu lat.

– Te seriale nie są odrealnione, nie są oderwane od życia, a jednocześnie podpowiadają, jak żyć. To ich wartość. Taki „Klan" czy „Barwy szczęścia" zrobiły więcej w sprawach społecznych niż wielkie akcje polityczne.

Jeśli chodzi o akceptację mniejszości albo osób z niepełnosprawnościami.

– Były napisane odcinki o imigrantach. I gdy Kurski przejął telewizję, to się zdziwił. Bo wszystko już było nakręcone i musiał emitować „Barwy szczęścia", w których przyjmowali imigrantów. Później to zostało ucięte. Chodzi o to, żeby serial korespondował z życiem, a zarazem był jakościowy.

Gdy słyszę pytanie o dobry model telewizji publicznej, to musi być model telewizji żywej. Reagującej na to, co za oknem, mającej kontakt z widzem. Wielki, niedoceniany potencjał mają telewizje regionalne. Tylko żeby żyły, muszą być w 100% live. Reporterzy w terenie, w studiu zmieniający się goście. Ten stół powinien być rozgrzany. Tak samo musi działać TVP Info. A dziś Info jest tak nudne i słuszne, że zęby bolą, jak się ogląda. Nie ma w tym życia.

Jak to zmienić?

– Muszą zacząć kreatywnie prowadzić pasmo. Żeby na żywo reagowali. Potrafią to – przypominam studio wyborcze. Dali radę! I co? Wybory się skończyły, studio wyborcze zamknęli i wszyscy przyszli do nudnych scenografii. Ktoś, kto wymyślił scenografię TVP Info, powinien płacić kary finansowe. To wygląda tak, jakby pozatrudniali najnudniejszych ludzi, którzy byli w innych telewizjach.

Czy ktoś pytał Tomasza Syguta o jego wizję TVP?

Oni tacy są czy TVP Info tak formatuje?

– Nie oczekuję, żeby dziennikarze byli obiektywni itd. Bo na czym polega obiektywizm? Na tym, że masz swoje zdanie, ale potrafisz wysłuchać kogoś innego, a nie na tym, że udajesz, że nie masz zdania. Potrafisz zadać pytanie, wysłuchać, zrozumieć, dlaczego ten człowiek myśli tak, a nie inaczej. Dziennikarz musi być szczery: panie ministrze, ja z pozycji lewaka czy prawaka na to patrzę tak i według mnie jest tak i tak. Niech odpowie, wytłumaczy. Człowiek, który nie ma zdania, nie ma prawa prowadzić programu. A ta telewizja w ogóle nie ma charakteru.

Wciąż żyją wspomnieniem grozy sprzed dwóch lat, kiedy ściągali ludzi z ulicy do prowadzenia programów.

– No dobrze, ale te dwa lata już minęły. I albo powinno się tych ludzi wymienić, albo dokształcić i rozwinąć. Nie może być tak samo jak dwa lata temu. Mówiłem o tej nieszczęsnej scenografii. Źle w tym studiu siedzą, są źle kadrowani, zupełnie jak w latach 90. Ten wielki stół jest pusty, siedzą sztywno: dzień dobry państwu. I za chwilę wszyscy są znudzeni: i ci, którzy przyszli, i ci, co pytają. I ludzie, którzy słuchają, też są znudzeni. Bo mamy obowiązkowy zestaw pytań i obowiązkowy zestaw odpowiedzi.

Jeszcze jedno mi się nie podoba: zatrudnianie zewnętrznych dziennikarzy. Nie mam nic do pani Biedrzyckiej, ale fakt, że prowadzi flagowy program publicystyczny „Woronicza 17", to policzek dla wszystkich dziennikarzy TVP. W całej TVP nie ma nikogo, kto mógłby poprowadzić taki program? To znaczy, że telewizja jest słaba, nie ma osobowości i nie potrafi ich zbudować. Zdarzyła się tam w ostatnich latach jakaś osobowość?

Człowiek, który nie ma zdania, nie ma prawa prowadzić programu. Ta telewizja nie ma w ogóle charakteru.

eprasa.pl 1217c1a75a

Były pewne próby.

– A efekt jest taki, że nie ma nikogo. Wynika to z tego, że oni się boją. Wynika z obaw.

Jakich obaw?

– Że się narażą. Że coś będzie nie tak. Bez sensu. Jestem pewien, że nawet gdyby coś wytknęli Tuskowi, nie miałby nic przeciwko temu, ale oni myślą, że miałby.

Znamy Tuska. Woli trudne starcia niż uładzone herbatki.

– Czyli z trudnymi pytaniami nie miałby problemu. Ale oni myślą inaczej. Dlatego Tusk nie ma z kim gadać w publicznej telewizji.

Rozmawiał z Justyną Dobrosz-Oracz.

– Zadawała mu krótkie pytania. To był ping-pong, nie rozmowa. A poza tym żeglujemy bezpiecznie.

Nie pchamy się do przodu, mówimy za innymi.

– Albo przemilczamy, żeby tylko nie skrytykować. To bez sensu! I warto zaznaczyć: to na pewno nie jest na żądanie czy prośbę samego Tuska. Raczej widać wpływ Kierwińskiego lub innych jemu podobnych, bo to są małostkowi ludzie. I dlatego telewizja jest na poziomie Kierwińskiego, a nie Tuska, bo ta ekipa na takim poziomie funkcjonuje.

Każde medium jest odbiciem poziomu swojego szefa.

– Mamy więc prawdopodobnie pokłosie pracy Syguta w marketingu, w warszawskich autobusach. Myślę też, że to jakiś rodzaj poczucia, że jest im coś winien. Zaufali mu, więc on…

Z drugiej strony wydaje mi się, że w telewizji jest tyle miejsca i możliwości, że zdolny człowiek, jeżeli gdzieś natknie się na bariery, może się realizować gdzie indziej.

– W telewizji wbrew pozorom miejsca jest bardzo mało. W Polsce w telewizjach w ogóle funkcjonuje system koteryjny. Wszyscy się znają i jeżeli coś chcesz zrobić, musisz być jednym z nich. Nie da rady inaczej. Tu też mamy koterię, która weszła, obsiadła i jest zadowolona. Klinicznym przykładem jest przypadek Karoliny Opolskiej.

Tej, której AI napisała bibliografię książki.

– Nie mówię o niej bezpośrednio, tylko o zachowaniu telewizji. Gdy wybuchła afera, wewnętrznie załatwili to w ten sposób: w ogóle o tym nie gadamy. Karolina powiedziała, że jest okej, więc jest okej. A ona automatycznie powinna spaść z ramówki. Powinna być zawieszona na czas wyjaśnienia sprawy do końca. Ale nie jest, więc przychodzą do niej posłowie PiS i ją atakują, rozwalają program. No nie… To pokazuje, jak wygląda dziś przypadek mediów publicznych, które powinny być krystalicznie uczciwe i świecić przykładem. A tu mamy koleżeńską lojalność.

Mamy też, jak pan mówi, zespół rekonstrukcyjny! O co tu chodzi?

– Skojarzyło mi się od razu, jak zobaczyłem, kto przyszedł do TVP. Ci sprzed ośmiu lat. I wymyślili, że będą robić taką telewizję jak osiem lat temu. Jakby przez te lata była wyłączona, a teraz ją włączają.

Z powrotu Orłosia się ucieszyłem.

– Orłoś akurat jest dobry, przyciąga. Inni już mniej, ale pościągali ich i płacą im jak za zboże. Co mi z tego, że Tadla jest w jakimś programie? Nie wnosi nic nowego. Ile nazwisk wróciło! Wrócili tylko po to, żeby wrócić. To nie było tak, że przez osiem lat coś wymyślali, trzymali rękę na pulsie: zrobiłbym to lub tamto. Nie! Wrócili do telewizji i dopiero tu zaczęli myśleć: cholera, po co właściwie tu jestem? A świat poszedł do przodu.

Co było awangardą dziesięć lat temu, to dziś paździerz.

– Oczy się męczą. I nie ma nic, czego nie byłoby w innych telewizjach. Oczywiście na takie słowa będą zaraz gadać, że mają Teatr Telewizji. Przepraszam, ile wieków można opowiadać, że całą telewizję publiczną utrzymujemy dlatego, żeby mieć Teatr Telewizji? Od 30 lat słyszę, że mam płacić abonament, bo mam teatr. Czy to nie przesada?

Mamy ich kochać za samą etykietkę TVP.

– O, tak! Kiedyś to samo usłyszałem od Juliusza Brauna. Pytałem go: panie prezesie, co jest największym pana sukcesem? Odpowiedział: to, że Telewizja Polska jeszcze trwa. Zatkało mnie. Co to za wartość, że trwa? Równie dobrze pana mogłoby tu nie być, każdy mógłby być prezesem i też by trwało. To absurd. Teraz mówią to samo – że trwają. Ale po co? Kto pytał Syguta o jego wizję TVP?

Pytali, czy dowiezie przejęcie.

– A powinni powiedzieć: panie Sygut, masz pan trzy miesiące na ogarnięcie tej sytuacji, na podłączenie kabli itd. Potem oczekujemy od pana jakiejś wizji. A tu cisza. No, a jak przez dwa lata nikt o nic nie pyta i godzi się, że dobrze jest, jak jest, to mamy tę beznadzieję.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Ktoś, kto wymyślił scenografię TVP Info, powinien płacić kary. Jakby pozatrudniali najnudniejszych ludzi z innych telewizji.

Po aferze z książką Karolina Opolska automatycznie powinna spaść z ramówki.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, TVP INFO, MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 1217c1a75a

Aferzyści prezydenta RP

Kto i dlaczego nie chce, aby państwo kontrolowało rynek kryptowalut

Andrzej Sikorski

Histeryczna reakcja PiS, Konfederacji i Karola Nawrockiego na przygotowaną przez rząd ustawę o kryptowalutach budzi zdumienie. Skrajna prawica sprzeciwia się sprawowaniu przez państwo nadzoru nad szemranym rynkiem finansowym wykorzystywanym do wspierania terroryzmu, aktów rosyjskiej dywersji, prania brudnych pieniędzy i innych działań przestępczych. Pytanie, jaki ma w tym interes.

Zawetowana przez prezydenta ustawa miała wdrożyć przepisy unijnego rozporządzenia MiCA (Markets in Crypto-Assets). Zgodnie z wytycznymi Parlamentu Europejskiego i Rady Unii Europejskiej każde państwo członkowskie powinno wskazać organ państwowy, który będzie kontrolował rynek kryptowalut. W Polsce takim organem miała być Komisja Nadzoru Finansowego, która sprawuje też dozór m.in. nad sektorem bankowym, instytucjami płatniczymi, rynkiem kapitałowym i ubezpieczeniowym.

Brednie dla ciemnego ludu

Nawrocki i politycy PiS wytoczyli przeciwko ustawie o kryptowalutach różne argumenty, w większości niedorzeczne, a nawet idiotyczne, skrojone pod publiczkę, zgodnie z doktryną byłego bulteriera PiS Jacka Kurskiego, że jest to „lipa, ale ciemny lud to kupi". Na przykład ten o rzekomym ograniczeniu praw i wolności Polaków poprzez „możliwość wyłączania przez rząd stron internetowych firm działających na rynku kryptoaktywów jednym kliknięciem". Wiele osób uwierzyło, że Donald Tusk będzie w ten sposób eliminować z rynku niewygodne firmy i przejmować pieniądze inwestorów. Tymczasem obowiązek wprowadzenia przepisów dotyczących blokowania stron podmiotów, które łamią prawo, wynika z samego rozporządzenia MiCA. (Gdyby Nawrocki był konsekwentny, powinien zgłosić ustawę zakazującą blokowania „jednym kliknięciem" rachunków bankowych przez urzędy skarbowe).

Inny zarzut był taki, że ustawa jest zbyt obszerna, bo ma ponad 100 stron, a podobna ustawa w Czechach zaledwie kilkanaście. Tyle że w polskiej ustawie o kryptowalutach za jednym zamachem dokonano też nowelizacji kilkudziesięciu innych ustaw, a Czesi robili to na raty. Dla porównania – banalna nowelizacja Ustawy prawo o ruchu drogowym, którą przygotował Nawrocki, ma aż 30 stron, a jej uzasadnienie 24 strony.

Karol Nawrocki zobowiązał się, że jeśli zostanie prezydentem, nie podpisze ustawy kontrolującej rynek kryptowalut.

Natomiast w rozmowie z Krzysztofem Stanowskim na Kanale Zero (którego sponsorem jest spółka zajmująca się kryptowalutami) Karol Nawrocki twierdził, że nie miał pojęcia, iż brak państwowej kontroli nad rynkiem kryptowalut stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. „Przez całą ścieżkę legislacyjną nikt tego nie podnosił. Czy odcięto prezydenta od informacji o zagrożeniu rynku kryptowalut? Nie dowiedziałem się nic o nim ani z debaty parlamentarnej, ani z raportu służb specjalnych. To kolejna nadregulacja", skarżył się, co brzmiało kuriozalnie. A wystarczyło zapytać szefa BBN Sławomira Cenckiewicza, który w październiku br. w wywiadzie dla „Financial Timesa" alarmował, że rosyjski wywiad wojskowy GRU wykorzystuje kryptowaluty do opłacania sabotażystów w krajach Unii Europejskiej (w tym w Polsce). Sam Cenckiewicz mówił, że rządową ustawę „należy postrzegać również jako narzędzie do ograniczania rosyjskich kanałów finansowania".

Od zera do milionera

Wbrew rozpowszechnianej narracji Nawrockiemu i PiS nie chodzi o dobro, wolność, bezpieczeństwo majątku Polaków ani zapobieżenie nadmiernym regulacjom uderzającym w rozwój przedsiębiorczości i nowych technologii. Istotę problemu wyłożył Donald Tusk. „Powiedzieć, że weto prezydenta w sprawie kryptowalut jest dwuznaczne, to nic nie powiedzieć. W tle wielkie pieniądze, afery i śledztwa, tajemnicze zaginięcie »króla kryptowalut«, wspieranie kampanii radykalnej prawicy z udziałem prezydentów Dudy i Nawrockiego. Źle to wygląda", napisał na platformie X szef rządu.

Zaginiony „król kryptowalut" to Sylwester Suszek, twórca Zondacrypto (wcześniej BitBay i Zonda), największego w Polsce operatora giełdy kryptowalut. W 2014 r. Suszek (miał wówczas 25 lat) wraz z dwoma kolegami uruchomił w Katowicach platformę do wymiany kryptowalut. BitBay okazała się strzałem w dziesiątkę, a wkrótce młody biznesmen został multimilionerem ostentacyjnie obnoszącym się ze swoim bogactwem. Jego znakami rozpoznawczymi były prywatny helikopter, drogie samochody

eprasa.pl 1217c1a75a

sportowe i szyte na miarę garnitury. Suszek zarabiał na prowizjach od każdej transakcji, a codziennie przeprowadzano ich tysiące. Giełda miała 400 tys. użytkowników i miesięczne obroty rzędu 5-6 mld zł. W 2018 r. BitBay została wpisana na listę ostrzeżeń publicznych KNF. Zdaniem urzędników KNF giełda świadczyła usługi płatnicze bez wymaganych zezwoleń. Suszek przeniósł wtedy firmę, rejestrując ją na Malcie, a potem w Estonii.

W marcu 2022 r. Sylwester Suszek zaginął w tajemniczych okolicznościach.

Niebezpieczne związki

W 2020 r. wokół BitBay zrobiło się głośno za sprawą programu „Superwizjer" TVN, w którym ujawniono, że Marek K., jeden ze współudziałowców i zarazem były wiceprezes giełdy, ma bogatą przeszłość kryminalną. W latach 90. należał do działającego na Śląsku gangu Grzegorza P. „Pokida", który specjalizował się w porwaniach i morderstwach. Marek K. brał udział w porwaniu i zabójstwie biznesmena Mariana Z., za co trafił na osiem lat do więzienia. Po opuszczeniu więziennych murów związał się z gangsterem Romanem Ż., specjalizującym się dla odmiany w sutenerstwie, rozbojach, podrabianiu i wprowadzaniu do obrotu fałszywych pieniędzy oraz wyłudzaniu podatku VAT. Według ustaleń dziennikarzy to Roman Ż. stał za BitBay poprzez podstawionych udziałowców.

Sylwester Suszek pytany o związki z Markiem K. twierdził, że ten „nie jest jego wspólnikiem", a jedynie „osobą, która przynosi tematy do firmy, ma je obrabiać i za skończony sukces ma mieć zapłacone, i to wcale nie mało", cokolwiek to znaczy. O jakie tematy chodziło i do czego potrzebny był przestępca giełdzie kryptowalut, Suszek nie wyjaśnił.

Okazało się, że prezes BitBay również nie ma czystej kartoteki. Karany był za poświadczenie nieprawdy, handel nielegalnym oprogramowaniem i przywłaszczenie, a jego wcześniejsze biznesy kończyły się niepowodzeniami, po których pozostali niespłaceni wierzyciele. Szokujące może się wydawać, że Suszek w charakterze dyrektora działu bezpieczeństwa BitBay zatrudnił Artura Kubiaka, byłego naczelnika wydziału ds. walki z cyberprzestępczością Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach. Były stróż prawa nie widział nic nagannego w tym, że pracuje dla przestępców…

W 2021 r. Sylwester Suszek wycofał się z BitBay, a jego miejsce zajął prawnik Przemysław Kral, który przemianował giełdę na Zonda, a potem na Zondacrypto. W marcu 2022 r. Suszek zaginął w tajemniczych okolicznościach. Po raz ostatni widziany był na terenie bazy paliwowej w Czeladzi, gdzie trzymał swój helikopter i miał nieformalne biuro. Właścicielem terenu i przyjacielem Suszka był Marian W. „Maniek", przestępca podejrzany o udział w mafii paliwowej i oszustwa podatkowe. Policji nie udało się odnaleźć byłego prezesa BitBay. Jego siostra Nicole Suszek twierdzi, że brat został zamordowany, a majątek (m.in. firmy, liczne nieruchomości, luksusowe samochody) przejął Przemysław Kral. Ten z kolei zapewnia, że z zaginięciem Suszka nie ma nic wspólnego. Na dowód przedstawił nagranie pożegnalnego wystąpienia skierowanego do pracowników giełdy, w którym Suszek tłumaczy przyczyny odejścia zmianą planów życiowych.

Nicole Suszek przedstawia inną wersję zdarzeń. „W 2021 r. ktoś zniszczył przed domem jego ferrari. Szyby były potłuczone, w jednej z nich tkwiła siekiera. Sylwek wolał sam rozwiązywać swoje problemy, wtedy jednak powiadomił policję. Dla mnie to był sygnał, że naprawdę się wystraszył. Nie wiem jednak kogo. Policja też nie ustaliła sprawcy. Po tym zdarzeniu brat zabrał rodzinę i wyjechał do Szwajcarii, gdzie miał status rezydenta. Spędzili tam kilka miesięcy, potem wszyscy wrócili do Polski. Kilka miesięcy później Sylwek zaginął", mówiła „Gazecie Wyborczej".

Zaginięcie Sylwestra Suszka przypomina historię Róży Ignatowej, niemieckiej bizneswoman okrzykniętej królową kryptowalut. 25 października 2017 r. kobieta weszła na pokład samolotu linii Ryanair lecącego z Sofii do Aten i ślad po niej zaginął. Wraz z nią wyparowały 4 mld dol., które inwestorzy z całego świata ulokowali w jej wirtualnej walucie OneCoin. Zdaniem śledczych Ignatowa ukrywa się pod zmienioną tożsamością albo została zamordowana.

FOT. TOMASZ PIKULA/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1217c1a75a

Przemysław Kral i Radosław Piesiewicz podpisali umowę sponsoringową, na mocy której zmieniono nazwę siedziby PKOl na Zondacrypto Centrum Olimpijskie im. Jana Pawła II. 22 października 2025 r.

W objęciach PiS

Obawy Nicole Suszek, że jej brat nie żyje, nie są bezpodstawne. Gdy zaczęło się robić gorąco, Przemysław Kral wyjechał z Polski (przebywa w Monako) i nie stawia się na wezwania prokuratury, która chce go przesłuchać jako świadka, m.in. w sprawie zaginięcia Sylwestra Suszka. Nie przeszkadza mu to jednak w aktywności polityczno-biznesowej. Prezes Zondacrypto nawiązał kontakty ze środowiskiem PiS. Jego firma sponsorowała konferencję konserwatystów CPAC (Conservative Political Action Conference) w podrzeszowskiej Jasionce, na której Karol Nawrocki złożył publiczne zobowiązanie, że jeśli zostanie prezydentem, nie podpisze ustawy kontrolującej rynek kryptowalut.

Kral finansował też Polish-American Strategic Industries Summit, którego organizatorem była propisowska Telewizja Republika, i brał w tym szczycie udział. Impreza stanowiła część wizyty prezydenta Nawrockiego w Waszyngtonie we wrześniu br. Co prawda, Nawrocki w szczycie nie wziął w udziału, ale pierwsze skrzypce grali szef Republiki Tomasz Sakiewicz i jego „dziennikarze" Michał Rachoń i Jarosław Olechowski. Stronę amerykańską zaś reprezentowali wpływowi ludzie z otoczenia Donalda Trumpa, m.in. Mercedes Schlapp, dyrektorka ds. komunikacji strategicznej Białego Domu, Darren J. Beattie, podsekretarz stanu ds. dyplomacji publicznej USA, i Corey Lewandowski, doradca sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Kristi Noem.

Jak ujawnił Wojciech Czuchnowski, który dotarł do poufnych dokumentów służb, opłacenie szczytu Republiki przez Zondacrypto było „częścią kampanii lobbingowej wycelowanej w członków administracji Donalda Trumpa". Kampania ta musiała być skuteczna, bo niedawno spółka Zondacrypto pochwaliła się, że dostała „licencję na Florydzie i rozpoczyna swoją ekspansję na rynek USA". Zgodnie z biznesową etyką Kral zapewne odwdzięczy się pisowskiemu propagandyście za okazaną pomoc i przyszłe zyski liczone w setkach milionów dolarów.

Niedawno Sakiewicz przebywał w Monako na zaproszenie Krala, który miał mu nawet opłacić hotel. Jakie interesy panowie omawiali, tego nie ujawniono, ale Telewizja Republika ogłosiła, że jej szef jest „inwigilowany przez państwo Tuska". Dodajmy, że w Monako Przemysław Kral podpisał umowę sponsoringową z Polskim Komitetem Olimpijskim, na mocy której zmieniono nazwę siedziby PKOl na Zondacrypto Centrum Olimpijskie im. Jana Pawła II (sic!). Profanacja wizerunku świętego nie uraziła uczuć religijnych polityków PiS, tak bardzo wrażliwych na szarganie dobrego imienia papieża. Jeśli jednak za wstawiennictwem Jana Pawła II odnalazłby się cały i zdrowy zaginiony założyciel i wieloletni prezes giełdy kryptowalut, na ewidentne bluźnierstwo można wówczas by przymknąć oko.

Prokurator krajowy Dariusz Korneluk powołał specjalny zespół, którego zadaniem jest zebranie informacji ze wszystkich prokuratur w Polsce na temat śledztw dotyczących przestępczości związanej z funkcjonowaniem rynku kryptowalut. Można się spodziewać, że wkrótce wypłyną kolejne afery.

Zondacrypto nie jest jedyną działającą w Polsce giełdą kryptowalut. W 2016 r. głośno było o bankructwie giełdy Bitcurex, a w 2019 r. zbankrutowała giełda Bitmarket. W ciągu jednego dnia w wirtualnym świecie rozpłynęło się ponad 100 mln zł. Inwestorzy nie odzyskali swoich pieniędzy, a prokuratura nie ustaliła, co się z nimi stało. Wiadomo, że w sprawie Bitcureksu pieniądze zostały wytransferowane przy użyciu konta na BitBay. Natomiast dwa tygodnie po ogłoszeniu bankructwa Bitmarketu jeden z właścicieli giełdy, olsztyński biznesmen Tobiasz Niemiro, popełnił samobójstwo.

Giełdy kryptowalut nie tylko są łakomym kąskiem dla złodziei, lecz także wykorzystuje się je jako pralnie pieniędzy. Zdarza się, że oficjalni prezesi i menedżerowie giełd to figuranci. Tak prawdopodobnie było w przypadku BitBay i Sylwestra Suszka. Polska jest jedynym krajem UE, w którym kryptowaluty są poza kontrolą państwa, a przestępcy i aferzyści mogą liczyć na wsparcie wpływowych polityków.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 1217c1a75a

Złupić klienta przed świętami

Jak sieci handlowe oszukują miliony konsumentów

Marek Czarkowski

Promocje wymyślono nie po to, by konsumenci mogli taniej kupić, lecz by sklepy, a zwłaszcza wielkie sieci handlowe, mogły więcej zarobić. Symbolem niepohamowanych zakupów i rozpasanej konsumpcji stał się ostatni piątek listopada, czyli Black Friday, kiedy to sklepy oferują towary po obniżonych cenach.

Tradycja ta zrodziła się w XIX w. w Stanach Zjednoczonych. W latach 80. i 90. XX w. Black Friday stał się za oceanem „świętem handlowym", a na początku XXI w. przyjął w Europie Zachodniej. W Polsce pojawił się w roku 2010, gdy największe sieci handlowe – Biedronka, Carrefour, RTV Euro AGD i inne – dostosowały go do potrzeb lokalnego rynku.

A było o co się bić. Nie wiadomo dokładnie, ile pieniędzy wydaliśmy na zakupy 28 listopada br., ale w tym dniu odnotowano 8 mln transakcji z użyciem Blika, o wartości 1,5 mld zł. Był to wzrost o 17% w stosunku do Black Friday w roku 2024. Szacunki mówią, że w listopadzie i grudniu ub.r. wydaliśmy na zakupy łącznie ponad 230 mld zł. Z czego na prezenty 55-65 mld.

Wszystko to działo się w atmosferze nieustannych promocji, świątecznych okazji, rabatów, odroczonych płatności i agresywnych reklam, które miały sprawić, byśmy w kasach zostawili jak najwięcej swoich lub pożyczonych pieniędzy.

Z raportu „Świąteczny Portfel Polaków 2025" przygotowanego przez Związek Banków Polskich wynika, że przeciętny Kowalski planuje wydać na święta 1787 zł, czyli o 13% więcej niż przed rokiem. Szacunkowa wartość świątecznego koszyka dla czteroosobowej rodziny wyniesie zaś 3655,30 zł – o 150 zł mniej niż rok temu. Przeszło 37-milionowa nacja to dla wielkich sieci handlowych łakomy kąsek. Tu każdy chwyt jest dozwolony. Byle się opłacało.

Królowie kar

Między bajki możemy włożyć historie o uczciwych sprzedawcach, którzy za rozsądną cenę oferują klientom towary wysokiej jakości. Dla milionów ludzi, nie tylko Polaków, Black Friday i przedświąteczne akcje promocyjne stały się synonimem wyjątkowych okazji i szans na zakup wymarzonych towarów po niskiej cenie. O czym usilnie przekonują nas reklamy.

Rzecz w tym, że dla sieci handlowych to okazja do zwiększenia sprzedaży i ekstrazysków, które często są wynikiem systematycznej manipulacji, oszustw i cynicznego wykorzystania psychologii zakupowej. To czas, w którym konsumenci sądzą, że wygrywają, choć często są bezczelnie oszukiwani. Najprostsza i najpopularniejsza metoda stosowana przez sprzedawców polega na tym, że kilka tygodni przed planowaną na Black Friday „wielką wyprzedażą" sklep znacząco podnosi cenę towarów, by w ostatni piątek listopada ogłosić „gigantyczne rabaty" sięgające 40%, a nawet 50%, które de facto sprowadzą ceny… do poziomu sprzed podwyżki.

Weźmy lodówkę, która kilka miesięcy wcześniej kosztowała 3 tys. zł. Sześć tygodni przed wyprzedażą sprzedawca podniósł cenę do 4,5 tys. zł, by w Black Friday obniżyć ją do owych 3 tys. Klienci sądzą, że zaoszczędzili 1,5 tys. zł, podczas gdy w rzeczywistości zapłacili tyle co zwykle.

Bywa też tak – i jest to dosyć powszechne – że obniżki cen dyktowane są sprzedawcom przez producentów. Klasycznym przykładem jest niezwykle konkurencyjny rynek telewizorów.

Wiadomo, że wiosną Samsung, LG, TCL, Philips, Hisense, Xiaomi i inni producenci przedstawią nowe modele, które wejdą do sprzedaży. Ich ceny będą wysokie, zwłaszcza w segmencie premium. Lecz po kilku

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1217c1a75a

miesiącach zaczną spadać. Zdarza się, że pod koniec roku, zwłaszcza w Black Friday, różnica cenowa może sięgać kilkudziesięciu procent.

Jeden z tegorocznych modeli Samsunga, o przekątnej 55 cali, ze świetną matrycą ekranu wykonaną w technologii OLED, w połowie lipca br. kosztował 5989 zł, a w ubiegłym tygodniu można było go kupić za 3588-3798 zł. Zapewne wkrótce jeszcze potanieje, bo przed wiosenną premierą nowych modeli koreański koncern – podobnie jak inni producenci – będzie opróżniał magazyny.

Promocje wymyślono nie po to, by konsumenci mogli taniej kupić, lecz by sklepy, zwłaszcza wielkie sieci handlowe, mogły więcej zarobić.

A to oznacza, że dziś telewizory są oferowane sieciom handlowym po znacznie niższych cenach.

W Polsce Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów regularnie monitoruje, zwłaszcza w czasie Black Friday i w okresie przedświątecznym, sklepy sprzedające sprzęt RTV i AGD, ponieważ tam pokusa, „by się nie narobić, a zarobić", jest spora. Zdarzało się, że Media Expert, RTV Euro AGD i MediaMarkt były obiektem postępowań i kar nakładanych za fałszywe promocje.

4 marca br. prezes UOKiK nałożył na kontrolowaną przez rodzinę Grzebitów spółkę Terg, do której należy sieć sklepów Media Expert, karę w wysokości ponad 30 mln zł za udział w wieloletniej zmowie cenowej dotyczącej ekspresów do kawy marki Jura. W tej samej sprawie spółka Euro-net (należąca do Iwony Kuk, Waldemara Kuka oraz Roberta Kuczyńskiego) prowadząca sieć sklepów RTV Euro AGD została ukarana kwotą 10,5 mln zł. W zmowie cenowej uczestniczyły też sieć sklepów MediaMarkt należących do Media Saturn Holding Polska oraz sklep internetowy pod tą samą nazwą. Nałożona na oba podmioty kara przekroczyła 13 mln zł. Oczywiście wszyscy odwołali się od decyzji prezesa UOKiK do Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, dlatego na ostateczne rozstrzygnięcie przyjdzie poczekać kilka lat.

Kogo najczęściej karze UOKiK?

Nad Wisłą absolutnym czempionem pod względem „nieprawidłowości" w handlu jest właściciel sieci supermarketów Biedronka, spółka Jerónimo Martins Polska. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów regularnie nakładał na nią kary. W sieci można znaleźć informację, że ich łączna wysokość sięgnęła 1 mld zł.

Co takiego wyczyniała Biedronka, że UOKiK się na nią uwziął? Otóż systematycznie wprowadzała klientów w błąd, a także ordynarnie wykorzystywała dostawców. Najbardziej pikantną sprawą było odkryte przez urzędników notoryczne skandaliczne traktowanie dostawców owoców i warzyw. W latach 2018-2020 spółka Jerónimo Martins Polska arbitralnie obniżała wynagrodzenie dostawców, już po zrealizowaniu zamówień, wymuszając dodatkowe rabaty.

Z raportu „Świąteczny Portfel Polaków 2025" wynika, że przeciętny Kowalski planuje wydać na święta 1787 zł, o 13% więcej niż przed rokiem.

Owe obniżki, przymusowo uzyskiwane od dostawców żywności, nie przekładały się na niższe ceny produktów dla klientów, a jedynie zwiększały zysk Biedronki!

W grudniu 2020 r. prezes UOKiK Tomasz Chróstny nałożył na Portugalczyków rekordową karę 723 mln zł. Uzasadniając to, stwierdził m.in., że „kara musiała być adekwatna do stopnia naruszenia przepisów prawa, uciążliwości praktyki oraz wysokości nieuczciwie uzyskanych korzyści przez portugalską sieć. Jerónimo Martins Polska, w ciągu trzech zbadanych przez nas lat, pozbawiła w ten sposób kontrahentów – głównie dostawców owoców i warzyw – kilkuset milionów złotych".

Po odwołaniach Portugalczyków – i kilku latach batalii prawnych – sądy obniżyły pierwotną kwotę 723 mln zł do ponad 500 mln zł.

W tym samym 2020 r. na Biedronkę spadła kara w wysokości 115 mln zł za notoryczne rozbieżności między cenami na półkach a cenami naliczanymi w kasie. Klienci płacili więcej, niż wskazywała na to etykieta cenowa. W praktyce wyglądało to tak: papier toaletowy z wystawioną ceną 9,99 zł w rzeczywistości sprzedawano po 16,99 zł. W przypadku zauważenia oszustwa nie było możliwości zakupu towaru po cenie zgodnej z wystawioną. Litr lodów Marletto – wystawiona cena to 3,45 zł (przecenione z 4,99 zł), lecz zapłacić za nie trzeba było 10,99 zł. Najczęściej chodziło o kilka-kilkanaście złotych za produkt. Portugalczycy wiedzieli, że śpieszący się klienci z wypakowanymi do pełna wózkami nie będą przy kasach zwracali uwagi na to, co ile w rzeczywistości kosztuje. Tak, mnożąc drobne kwoty przez miliony transakcji, Biedronka zarabiała kosztem konsumentów dziesiątki milionów złotych. Jak wykazały kontrole Inspekcji Handlowej, zjawisko miało charakter systemowy i dotyczyło setek marketów w całym kraju. Portugalczycy odwołali się od tej decyzji, lecz w 2023 r. sąd nie podzielił ich wątpliwości i utrzymał karę.

Mogłoby się wydawać, że te sankcje czegoś menedżerów z Półwyspu Iberyjskiego nauczyły. Nic bardziej mylnego! W 2022 r. UOKiK nałożył na Biedronkę kolejną karę – ponad 160 mln zł – za wprowadzającą w błąd kampanię marketingową o nazwie „Tarcza Biedronki Antyinflacyjna". Tym razem sieć obiecywała klientom zwrot różnicy, jeśli

eprasa.pl 1217c1a75a

znajdą określone produkty taniej w innych sklepach. Brzmiało uczciwie? Teoretycznie tak. W praktyce warunki promocji zostały tak skonstruowane, że były niemożliwe do spełnienia. Obiecany „zwrot" nie był zaś gotówką, lecz e-kodem o minimalnej wartości, do wykorzystania przy kolejnych zakupach w Biedronce. To nie była ochrona przed inflacją, lecz ordynarna manipulacja. W 2024 r. sąd apelacyjny podtrzymał karę.

Obecnie sprawa znajduje się w Sądzie Najwyższym, do którego prawnicy reprezentujący spółkę Jerónimo Martins Polska złożyli wniosek o kasację.

Trzeba pamiętać, że lista deliktów, jakich dopuściła się ta popularna sieć supermarketów, jest dłuższa. W roku 2021 UOKiK nałożył na nią np. karę w wysokości 60 mln zł za błędne oznaczenie kraju pochodzenia towarów. Jako kraj pochodzenia czosnku i ziemniaków podawana była Polska, choć w rzeczywistości produkty te pochodziły z Hiszpanii. Francuską kapustę włoską i cebulę szalotkę również sprzedawano jako produkty polskie. Podobnie holenderskie gruszki i selery. Na początku 2024 r. sąd oddalił apelację Portugalczyków i decyzja stała się prawomocna.

Byłoby jednak niesprawiedliwie obciążać Biedronkę odpowiedzialnością za wszelkie nieprawidłowości. Inne sieci supermarketów także mają sporo za uszami. W czerwcu 2024 r. sieć Auchan miała do zapłacenia 165 mln zł za oszukiwanie polskich dostawców warzyw i owoców. W tym samym roku za to samo UOKiK wymierzył karę 120 mln zł sieci Carrefour Polska. W grudniu 2024 r. spółka zapowiedziała odwołanie od tej decyzji.

Z identycznych powodów, za wykorzystywanie przewagi kontraktowej wobec dostawców, ukarane zostały sieci Dino (95 mln zł) i Lidl (85 mln zł), a Lidl dodatkowo zapłaci 40 mln zł za wprowadzanie w błąd w promocjach.

Jak się nie dać?

Pomocnym narzędziem, które pozwala walczyć z fałszywymi promocjami, jest dyrektywa UE 2019/2161, nazywana dyrektywą Omnibus. Nałożyła ona na sieci handlowe obowiązek zamieszczania przy każdej obniżce cen informacji o najniższej cenie towaru z okresu 30 dni przed jej wprowadzeniem.

Kup roczną
e-prenumeratę
PRZEGLĄDU
w cenie 190 zł za cały rok
Nowy numer już w każdą sobotę

Zamów do 21 grudnia
e-book
„Jak to się stało? Ameryka po wyborach"
otrzymasz GRATIS
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd

W państwach członkowskich Unii Europejskiej dyrektywa weszła w życie w maju 2022 r.

Działa następująco: jeśli tydzień przed Black Friday sklep podniesie cenę lodówki z 3 tys. zł do 4,5 tys., musi to ujawnić. I „promocja" przestaje być atrakcyjna. Ma to szczególne znaczenie w przypadku sklepów internetowych. Tam łatwo zamieszczać takie informacje i klienci, zanim podejmą decyzję o zakupie, mogą sprawdzać, jak kształtowała się cena interesującego ich produktu na osi czasu.

Dobrym sposobem, by zorientować się w cenach różnych towarów, jest korzystanie z Ceneo – serwisu internetowego służącego do porównywania cen produktów w różnych sklepach online, a mają je wszystkie duże sieci RTV i AGD. Funkcja „historia cen – trend cenowy" pozwala sprawdzić, jak cena dowolnego produktu zmieniała się w ostatnim półroczu.

Mimo że rodzimi konsumenci z każdym rokiem stają się bardziej świadomi manipulacji cenowych, wielu nadal daje się nabierać na chwyty marketingowe i kupuje pod wpływem impulsu.

Dlatego, jeśli widzimy napisy lub informacje na stronie internetowej sklepu: „Tylko dziś!", „Oferta kończy się za trzy godziny!" lub „Ostatnie sztuki!", należy wziąć głęboki oddech. W 90% przypadków są to fałszywe alerty, których celem jest wyłączenie naszego krytycznego myślenia. Lepiej wówczas odłożyć decyzję o zakupie i sprawdzić, jak w ostatnich tygodniach kształtowała się cena interesującego nas towaru. Uczciwa promocja jest prosta i powinna wyglądać tak: „Telewizor – cena 2,5 tys. zł zamiast 3,5 tys.". I tyle. Jeśli na wywieszce dwa akapity drobnego druku wyjaśniają, na czym polega owa „promocja" – lepiej dać sobie spokój.

Rodzi się przy tym pytanie, jak to możliwe, że sieci Biedronka, Auchan, Lidl czy Carrefour tak często oszukują klientów. Odpowiedź jest prosta: bo to się opłaca. W ubiegłym roku właściciel Biedronki miał przychody rzędu 100 mld zł. I zysk netto rzędu 3-4 mld zł.

Wymierzane przez UOKiK kary finansowe, nawet te liczone w setkach milionów złotych, są częścią kosztów prowadzenia biznesu. Nic się zatem nie zmieni, dopóki kary za łamanie prawa nie będą znacznie wyższe, aby stały się biznesowo nieopłacalne.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 1217c1a75a

POLSKA LUDOWA. HISTORIA PRAWDZIWA

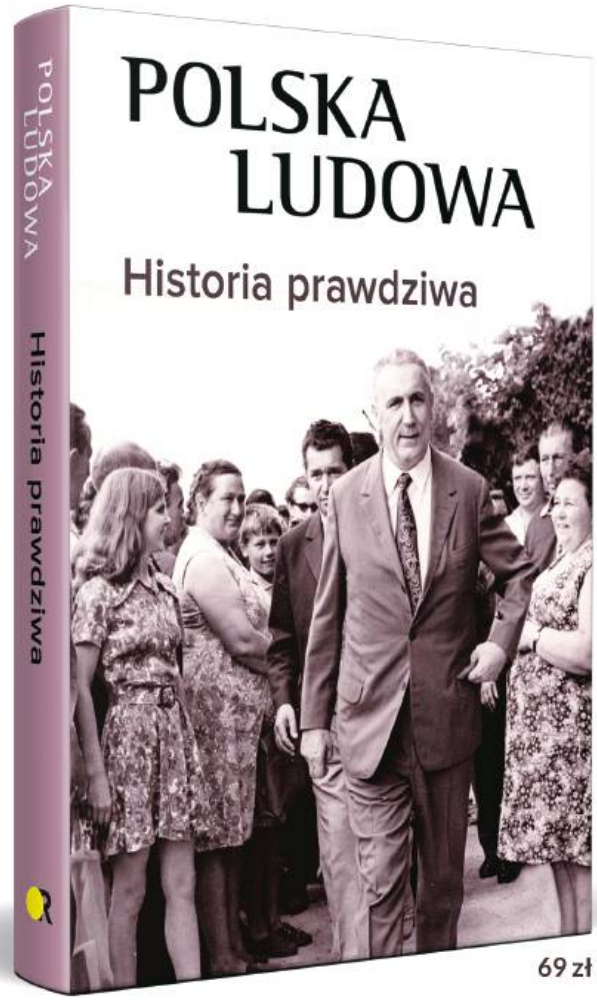

69 zł

Nie gloryfikuje i nie zakłamuje

Pierwsza próba sprawiedliwej oceny

Polska Ludowa zaczyna być porównywana z III RP. Często na jej korzyść. Czy zasadnie? Na to i inne pytania odpowiadają profesorowie: Joanna Hańderek, Dariusz Łukasiewicz i Andrzej Karpiński oraz publicyści: Jarosław Dobrzański, Paweł Dybicz, Bohdan Piętka, Paweł Siergiejczyk, Robert Walenciak i Wiesław Żółtkowski. Całość wieńczą fragmenty *Dzienników* prof. Andrzeja Walickiego.

Przegląd

Książkę można kupić, wpłacając podaną kwotę na konto fundacji „Przeglądu":
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821, Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
lub przez sklep internetowy **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.**

eprasa.pl 1217c1a75a

Z Galicji

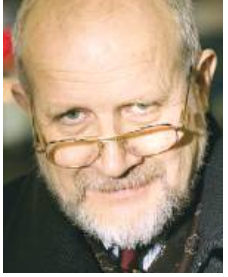

Jan Widacki

Co dalej z wymiarem sprawiedliwości?

Czy „państwem prawa” jest państwo, w którym nieczynny pozostaje Trybunał Konstytucyjny, połowa sędziów Sądu Najwyższego nie uznaje za sędziów drugiej połowy, a ta druga połowa nie uznaje uchwał pierwszej? Mało tego. Ta druga połowa nie uznaje też orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Część wyroków jest uchylana, bo w ich wydawaniu brali udział tzw. neosędziowie, ale tylko część, w zależności od tego, jakie ma poglądy sędzia, który rozpoznaje sprawę w drugiej instancji. Niekonstytucyjna w opinii większości środowisk prawniczych Krajowa Rada Sądownictwa wciąż produkuje kandydatów na neosędziów, a prezydent mianuje tylko niektórych, w dodatku nawet się nie kryjąc z tym, że wyboru dokonuje na podstawie kryteriów czysto politycznych.

Tenże prezydent, skoro już o nim mowa, nie uznaje nowego kierownictwa prokuratury, bo wedle niego zostało powołane ze złamaniem prawa. Dla pana prezydenta prokuratorem krajowym wciąż jest odwołany przez ministra Adama Bodnara i nieurzędujący od dwóch lat kolega Zbigniewa Ziobry i świadek na jego ślubie, prokurator w stanie spoczynku Dariusz Barski…

W sądach apelacyjnych są wakaty, bo sędziowie nie chcą awansować do nich w obecnej wątpliwej konstytucyjnie procedurze, aby nie stać się automatycznie „neosędziami”, produkującymi wyroki uznawane za wadliwe przez część środowiska i połowę Sądu Najwyższego. W najpoważniejszych sprawach karnych do składu orzekającego trzeba kooptować sędziów z wydziałów cywilnych, bo w wydziałach karnych sędziów jest za mało i nie są w stanie obsadzić składu. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że jakość orzecznictwa na tym cierpi. Sprawy w sądach wloką się jeszcze bardziej niż kiedykolwiek dotąd, w dodatku jakość wymierzanej tak opieszale sprawiedliwości też jest niższa, niż była, a już przed kryzysem, trzeba to przyznać, nie była za wysoka.

Naprawienie tego stanu rzeczy wymaga zmiany ustaw. Wiadomo z góry, że ich części prezydent z pewnością nie podpisze. W efekcie minęły dwa lata, a wciąż nie została uchylona barbarzyńska nowelizacja Kodeksu karnego, dokonana przez PiS pod patronatem Ziobry. Ale czy jest gotowy projekt nowelizacji prawa karnego przywracający temu prawu cywilizowane ramy? Miała być ustawa o biegłych sądowych. Tej akurat prezydent chyba nie miałby powodów wetować. Jest gotowy projekt? Gdzie?

Wiadomo z góry, że prezydent zawetuje każdą ustawę, która miałaby uzdrowić sytuację w Trybunale Konstytucyjnym, przywrócić Krajowej Radzie Sądownictwa jej konstytucyjny kształt, załatwić problem neosędziów. Dlatego można przy pisaniu projektu (chyba nawet kilku konkurencyjnych projektów) puszczać wodze fantazji i licytować się w radykalizmie, bo i tak jest oczywiste, że nic z tego nie będzie. Mamy absolutny pat. A czas biegnie. Wszystko wskazuje na to, że za dwa lata do władzy dojdzie prawica. Ona bez skrupułów znajdzie bolesne wyjście z sytuacji patowej.

Wiadomo, że prezydent zawetuje każdą ustawę, która miałaby uzdrowić sytuację w Trybunale Konstytucyjnym.

Może jednak jest jeszcze czas, aby spróbować wyjść z tej sytuacji nie tylko na warunkach bezwzględnie narzuconych przez prawicę? Może jeszcze jest czas na jakiś kompromis? Tak, kompromis. Polityka jest sztuką mądrego kompromisu. Wszędzie, ale nie u nas. U nas celem polityki jest „wszystko albo nic”. Jak uczy historia, zwykle efektem tak prowadzonej polityki jest właśnie to „nic”, w dodatku okupione wielkimi stratami. Nazywamy to zwykle „moralnym zwycięstwem”. Tak się pocieszamy i dowartościowujemy. Ale może w kwestii wymiaru sprawiedliwości (i w kilku innych ważnych sprawach!) jest jeszcze czas na kompromis, a nie tylko na tak pojęte „moralne zwycięstwo”? ■

Przegląd sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1217c1a75a

Czy Europa traktuje Ukrainę instrumentalnie?

Piotr Kimla

Wołodymyr Zełenski, goszczony przez Keira Starmera przy Downing Street 10, spotkał się z kanclerzem Friedrichem Merzem i prezydentem Emmanuelem Macronem, 8 grudnia 2025 r.

W kwestii pokoju w Ukrainie od wielu miesięcy powtarza się ten sam scenariusz. Prezydent Donald Trump wysuwa propozycje pokojowe, w wielkiej mierze na rosyjskich warunkach. Paradoksem, a może sprytną strategią negocjacyjną Rosjan jest to, że nigdy nie wiadomo, czy sama Moskwa je akceptuje. Marginalizowani w czasie negocjacji amerykańsko-rosyjskich główni europejscy przywódcy są przerażeni tym, że Stany Zjednoczone zdają się być sprzymierzone bardziej z Rosją niż z Ukrainą i Europą. Torpedują więc porozumienie oparte na rosyjskich warunkach i wojna toczy się dalej. Prezydent Trump zyskuje w ten sposób okazję do krytyki Europy, że oto europejscy przywódcy „tylko gadają", a ich gadanie nie przynosi żadnych efektów. Oprócz kontynuowania wojny. Tym samym winą za trwającą wojnę zostaje obarczona Europa.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że wojna rosyjsko-ukraińska była pierwotnie tzw. *proxy war*. Brutalnie rzecz ujmując, była amerykańską wojną z Rosją, prowadzoną ukraińskimi rękami. Działaniem zmierzającym do osłabienia Władimira Putina, którego polityka była odczytywana przez poprzednią amerykańską administrację jako bezpośrednie zagrożenie dla amerykańskich interesów w związku z jego przymierzem z Pekinem, ale nie tylko. Pisałem o tym bez ogródek w „Przeglądzie" krótko po wybuchu tej wojny („Wojna w Ukrainie z perspektywy polityki mocarstw", nr 12/2022). Donald Trump nie chce mieć nic wspólnego z działaniami administracji poprzednika, ale ciągłość państwowa Stanów Zjednoczonych nie została zerwana za sprawą drugiej wyborczej wygranej obecnego prezydenta USA. W związku z tym może on ignorować politykę prowadzoną przez prezydenta Joego Bidena, ale wyłącznie werbalnie.

> Wojna rosyjsko-ukraińska była pierwotnie tzw. proxy war. Brutalnie rzecz ujmując, była amerykańską wojną z Rosją, prowadzoną ukraińskimi rękami.

Jest pewnie prawdą, że gdyby to Trump był prezydentem zamiast Bidena, do wojny zastępczej Ameryki z Rosją by nie doszło. Pośród wykoślawień prawdy, przeinaczeń, półprawd i bezceremonialnego mijania się z prawdą (vide liczba wojen, które zakończył) oraz wszelkiego rodzaju fantasmagorii wypowiadanych przez obecnego amerykańskiego prezydenta to jedno zdanie – że nie doszłoby do wojny – wydaje się szczere. Ale nie doszłoby dlatego, że prezydent Trump oddałby Rosjanom Ukrainę bez walki.

Jego najnowsza, obfitująca w sprzeczności Strategia Bezpieczeństwa Narodowego, którą każdy ekspert i nieekspert w zakresie stosunków międzynarodowych, politolog, dziennikarz, bloger, blagier czy youtuber czuje się dziś w obowiązku „dogłębnie" omówić, oznacza m.in. zgodę na powrót do myślenia w kategoriach stref wpływów i koncertu mocarstw (gdy piszę ten tekst, do opinii publicznej trafia informacja, że istnieje nieopublikowana wersja strategii, w której Ameryka chce ustanowienia trzonu pięciu państw na wzór G7 w gospodarce, byłyby to USA, Chiny, Japonia, Rosja i Indie).

eprasa.pl 1217c1a75a

Władimir Putin i Donald Trump na lotnisku w Anchorage na Alasce podczas szczytu USA-Rosja, 15 sierpnia 2025 r.

Sytuacja Europy, marginalizowanej w procesie negocjacyjnym, ale mającej poczucie, że ona jedna prawdziwie pomaga Ukrainie, staje się bardzo skomplikowana. Dzieje się tak nie tylko wskutek ignorowania jej na polu dyplomatycznym, lecz także za sprawą samej Ukrainy. Ukrainy, która nie może toczyć wojny bez wywiadowczego wsparcia USA i bez amerykańskiej broni. Dzisiaj dostarczanej, jak wiadomo, za europejskie pieniądze. Nie może również liczyć na jakieś trwalsze ustanie walk bez gwarancji bezpieczeństwa danych przez Stany Zjednoczone. Przy czym jej sytuacja na froncie pomimo wielkich, przeszło trzyletnich wysiłków pogarsza się, toteż z każdym prawie dniem maleje jej przestrzeń do negocjacji. Bez względu na to, jak bardzo dziś nie do przyjęcia jawią się Ukraińcom przedstawiane im warunki pokojowe, są one lepsze od jutrzejszych, skoro jutro oznacza dla nich utratę kolejnych kilometrów kwadratowych terytorium.

Kijów staje zatem przed koniecznością zakończenia działań wojennych. W tej kwestii prezydent Trump ma rację. Problem polega na tym, że szybkie zakończenie wojny nie leży obecnie w interesie Europy. Mamy więc do czynienia ze swoistym odwróceniem ról. Wcześniej to Kijów był klientem Europy (i rzecz jasna Ameryki), obecnie to Europa coraz bardziej staje się zależna od Kijowa. Uprzednio hasło ukraińskiej dyplomacji, że Ukraina walczy nie tylko w obronie własnej, lecz w obronie całej Europy, w uszach wielu brzmiało jak zręczna propaganda. Teraz jednak, jak mówią mi bardziej ode mnie uczeni w dziedzinie wojskowości eksperci, Europa potrzebuje od pięciu do dziesięciu lat, aby skutecznie przygotować się na zmagania z Rosją albo ją odstraszyć. W tym kontekście walcząca Ukraina rzeczywiście kupuje Europie niezbędny czas.

Gdyby Trump był prezydentem zamiast Bidena, do wojny by nie doszło. Dlatego że oddałby Rosjanom Ukrainę bez walki.

Nasuwa się pytanie, czy za idealistycznymi hasłami Europy o obronie demokracji oraz integralności terytorialnej Ukrainy, o dążeniu do tego, aby wygrała ona wojnę z Rosją, a przynajmniej, aby jej nie przegrała, nie kryje się czysto instrumentalne traktowanie Ukrainy i Ukraińców. Pragnienie, aby Kijów kontynuował wojnę jak najdłużej, płacąc za to życiem swoich obywateli.

Naiwnością byłoby oczekiwać, że Kijów na to przystanie. Zresztą nie przystałby na to żaden kraj na świecie. Wszelkich złudzeń co do tego pozbawiają wypowiedzi byłej sekretarz prasowej Wołodymyra Zełenskiego, Julii Mendel. Pisze ona na platformie X: „Straciliśmy w ciągu trzech lat więcej ludzi, niż niektóre państwa europejskie mają obywateli". I dalej: „Mój kraj się wykrwawia. Wielu spośród tych, którzy przeciwstawiają się każdej propozycji pokojowej, wierzy, że bronią Ukrainy. Z całym szacunkiem, jest to najdobitniejszy dowód, że nie mają pojęcia, co się teraz dzieje na linii frontu oraz wewnątrz kraju". O ekspertach, którzy wyrażali oburzenie w związku z 28-punktowym planem pokojowym Trumpa, powiada, że nie widzi z ich strony najmniejszej konstruktywnej propozycji, oprócz oczywiście jednej: aby wojna trwała wiecznie.

Pokój zatem nastąpi. Ten pokój będzie stanowił dla Polski ogromne wyzwanie. Nikt prawie o nim nie pisze, ale mam nadzieję, że są go świadome polskie władze. Po zawarciu pokoju przyjadą do Polski dziesiątki, może setki tysięcy ukraińskich żołnierzy. Przyjadą, ponieważ ukraińska armia zostanie zredukowana, i to niezależnie od żądań Rosji. Państwa takiego jak Ukraina nie będzie stać na utrzymywanie 800-tysięcznego wojska. Przyjadą, ponieważ mieszkają u nas ich krewni, żony i dzieci. Państwo polskie powinno być na to przygotowane. Pytanie, czy potrafi się przygotować i czy w ogóle można się na to przygotować.

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1217c1a75a

Strategia czasów wodzostwa

Donald Trump wreszcie powiedział wprost: jego największym wrogiem jest dawna Ameryka

Mateusz Mazzini

Opublikowana oficjalnie 5 grudnia amerykańska Narodowa Strategia Bezpieczeństwa w społeczności analityków i obserwatorów polityki międzynarodowej funkcjonowała trochę na zasadzie kota Schrödingera. Bardzo długo jej nie było, przynajmniej w końcowej formie, a jednocześnie ciągle wzbudzała kontrowersje, lęki egzystencjalne i ataki paniki właściwie na całym świecie. Już samo to pokazuje, że wbrew zaklinaniu rzeczywistości przez Pekin, Moskwę czy Teheran nadal większość populacji żyje w układzie sił, którego gwarantem w mniejszym lub większym stopniu jest polityka Stanów Zjednoczonych. Brzmi to gorzko, ale rację ma portal Politico, który tydzień po publikacji strategii za najpotężniejszego polityka pod względem wpływu na Europę uznał właśnie Donalda Trumpa. Wielu na Starym Kontynencie chciałoby pewnie, żeby na tym miejscu znajdowała się jakaś nowa inkarnacja Churchilla, Adenauera czy de Gaulle'a, ale nic nie jest w stanie zmienić faktu, że to prezydent USA dyktuje europejskim stolicom, co mają robić. I to on ma decydujący wpływ na ich bezpieczeństwo, zwłaszcza w kontekście procesu pokojowego w Ukrainie.

Współautorami strategii są wiceprezydent J.D. Vance (z lewej) oraz Elbridge Colby, podsekretarz stanu ds. polityki wojennej.

Partnerstwo na finiszu

Pierwotnie ten dokument, ostatecznie mający wszędzie odciski palców wiceprezydenta J.D. Vance'a, mocno też naznaczony strategicznym myśleniem izolacjonisty Michaela Antona i antychińskiego jastrzębia Elbridge'a Colby'ego, miał się ukazać we wrześniu. Przeszło dwumiesięczna zwłoka w publikacji była dla wielu powodem do niepokoju, ale i zastanowienia. Co prawda, pojawiały się przecieki z pierwszych wersji – chociażby doniesienia Kena Moriyasu z gazety „Nikkei Asia", który jako pierwszy trafnie przedstawił hierarchię priorytetów w nowej strategii – ale były to informacje szczątkowe.

Moriyasu już we wrześniu napisał, że najważniejsze będzie bezpieczeństwo wewnętrzne, rozumiane także przez pryzmat reindustrializacji i powstrzymania nielegalnej imigracji. Dopiero na drugim miejscu znalazły się Chiny i, szerzej, Indo-Pacyfik, potem kwestie nowych technologii, a na czwartym miejscu Europa.

Ostatecznie Staremu Kontynentowi poświęcono sporo miejsca, bo aż trzy strony, niemal w całości wypełnione ostrym, antagonistycznym, mocno bełkotliwym językiem konfliktu cywilizacyjnego i zawoalowanego rasizmu, ale wcale nie dlatego, że Stany Zjednoczone pod rządami Trumpa są jakoś zaniepokojone europejskim bezpieczeństwem czy stanem sojuszu transatlantyckiego. Wręcz przeciwnie. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że 5 grudnia 2025 r., przynajmniej w warstwie retorycznej (choć jak najbardziej oficjalnej), powojenne partnerstwo demokratycznej Europy i Stanów Zjednoczonych ostatecznie dobiegło końca.

Jak słusznie w komentarzu do dokumentu, opublikowanym przez liberalny amerykański think tank The Brookings Institution, napisała turecka analityczka Aslı Aydıntaşbaş, nawet gdyby w 2028 r. w USA władzę przejęła administracja demokratów, zaangażowanie Ameryki w sprawy atlantyckie nigdy już nie będzie takie jak w czasach po 1989 r., których ostatnim tchnieniem była ekipa Joego Bidena. Wynika to ze zmian strukturalnych w samych Stanach

FOT. NATHAN POSNER/ANADOLU/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1217c1a75a

Zjednoczonych – gospodarczych, politycznych i demograficznych. Ale też z faktu, że w nowym wieloosiowym świecie stworzony przez Bidena podział na autokracje i demokrację będzie miał drugorzędne znaczenie.

Aslı Aydıntaşbaş zauważa bowiem, że wprawdzie wracamy do czasów chaosu i twardej siły jako wyznacznika pozycji danego kraju, ale nie zmienia to faktu, że trzeba to wszystko pogodzić z gospodarczym współistnieniem i współuzależnieniem. Nie będziemy mieli już luksusu obrażania się na autokratów i wstrzymywania handlu z nimi, bo od takich transakcji będzie zależeć nasze przetrwanie. Uniwersalizmy zostaną odsunięte na bok, jeśli w ogóle będą obecne w rozrachunkach dyplomatycznych.

Projekcja lęków MAGA

Co zatem Europa dostaje w zamian? Sporo uwagi, ale krytycznej. W wypowiedziach Colby'ego i Vance'a słyszymy to, co tak naprawdę już wszyscy wiedzieliśmy, a przynajmniej ci, którzy nie mieli złudzeń co do natury obecnej administracji. Krótko mówiąc, Unia Europejska w swoim dzisiejszym kształcie instytucjonalnym jest całkowicie niekompatybilna z interesem strategicznym Stanów Zjednoczonych. Dlatego Donald Trump będzie aktywnie dążył do jej rozbicia, a dokładniej – redukowania Wspólnoty do jej roli czysto ekonomicznej, czyli do wspólnego rynku.

Skąd taki cel? Odpowiedź na to pytanie zależy od orientacji ideologicznej komentatora. Liberałowie, a przynajmniej ci przywiązani do porządku międzynarodowego opartego na zasadach, normach i etyce, widzą w tym dokumencie wyrażenie pogardy dla europejskich ustrojów politycznych i powojennego kontraktu społecznego. Dla polityków spod znaku MAGA europejskie państwo dobrobytu, przyjmujące uchodźców z globalnego Południa, wypłacające zasiłki osobom niepełnosprawnym, zarządzane w większości przez rządy koalicyjne i zachowujące silny parlamentaryzm jako wyraz pluralizmu poglądów swoich obywateli, jest po prostu przeżytkiem.

Z kolei konserwatyści – zwłaszcza europejscy narodowi populiści w duchu co lepiej umoszczonych w swoich międzynarodówkach polityków Prawa i Sprawiedliwości – już próbują retorycznych wygibasów, żeby udowodnić, że ta strategia wcale nie jest antyeuropejska, tylko po prostu antyprogresywna. Niektórzy, jak były szef KPRM Michał Dworczyk, już uznali nawet, że amerykańska reorientacja strategiczna jest „szansą dla Polski". Powtarzają z uporem maniaka, że Stany Zjednoczone mają prawo do twardej obrony swoich interesów, że dyplomację uprawia się nie wartościami, lecz siłą, a właściwie jej projekcją. Narzekają na Unię jako symbol bliżej nieokreślonej choroby cywilizacyjnej, która trapi Zachód. Szkoda tylko, że kurtuazyjnie milczą na temat zapisanego w amerykańskiej strategii całkowitego resetu stosunków z Rosją, zwłaszcza w zakresie wymiany gospodarczej.

Warto tu zwrócić uwagę na aspekt metodologiczny i ciąg przyczynowo-skutkowy. Jak słusznie zauważył na łamach strony internetowej „World Politics Review" prof. Paul Poast, nowa strategia bezpieczeństwa USA jednoznacznie wskazuje, że bezpieczeństwo jest pochodną siły przemysłowej, rozwoju gospodarczego i homogeniczności kulturowej, wręcz rasowej. Silne kraje to kraje z jednolitą pod względem koloru skóry, wiary i przekonań populacją, które w dodatku notują wzrost gospodarczy.

W oczach Trumpa Europa jest słaba i niezdecydowana właśnie dlatego, że wpuściła zbyt wielu uchodźców i ma zbyt liberalne normy społeczne. Nie dlatego, że przeniosła produkcję przemysłową do Chin, uzależniając się jednocześnie od chińskich technologii i nadprodukcji dóbr konsumenckich. Nasza słabość wynika z naszej otwartości. W pewnym sensie, jak ocenił prof. Daniel Drezner z Tufts University w Bostonie, Europa stała się dla MAGA tym, czym islamscy terroryści byli dla Partii Republikańskiej na początku XXI w. George W. Bush zwykł mawiać, że islamiści atakują Zachód, bo „nienawidzą nas za naszą wolność". O ludziach Trumpa i ich stosunku do Unii Europejskiej można powiedzieć dokładnie to samo.

W strategii zawarte zostały tezy, które mimo wszystko trudno traktować poważnie, bo nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Rację ma Gideon Rachman, główny komentator spraw międzynarodowych w „The Financial Times", który w komentarzu do dokumentu nazwał go po prostu projekcją. A dokładniej projekcją lęków MAGA i Trumpa wobec ich własnego kraju. W strategii można przeczytać, że już w najbliższej przyszłości wiele państw europejskich zmierzy się z ryzykiem przekształcenia w społeczeństwa „większościowo nieeuropejskie". W związku z tym, czytamy dalej, nie jest wcale pewne, czy społeczeństwa te będą nadal reprezentować te same wartości, jakie dominowały w 1949 r., kiedy podpisywano Pakt Północnoatlantycki. To nic innego jak słabo maskowany rasizm i teoria wielkiego zastąpienia – internetowy mit skrajnej prawicy zakładający, że liberalne elity celowo wpuszczają do swoich krajów imigrantów o innym kolorze skóry i wyznaniu, żeby wyparli białych katolików.

Szczelne granice, biała supremacja i chrześcijaństwo – tak ma wyglądać świat według strategii USA.

Problem w tym, zauważa Rachman, że to nie Europa ma przed sobą takie perspektywy, lecz właśnie Stany Zjednoczone. Już teraz, jak wynika ze spisu powszechnego z 2021 r., 40% tamtejszej populacji to osoby identyfikujące się jako „niebiałe". A odsetek ten tylko rośnie, do tego stopnia, że już w 2035 r. USA mogą się stać krajem tzw. mniejszościowo-większościowym, to znaczy społeczeństwem, w którym żadna grupa etniczna nie będzie stanowić co najmniej połowy populacji. Żeby to się wydarzyło we Francji, w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii, granice tych państw musiałyby pozostawać

eprasa.pl 1217c1a75a

otwarte przez kolejne dekady. A całkowicie otwarte przecież nigdy nie były. MAGA krzyczy na Europę, ale faktycznie swój gniew kieruje pod adresem własnej klasy politycznej.

Tak naprawdę bowiem to nie Europa dostała w tym dokumencie po głowie najbardziej, tylko właśnie Ameryka w swoim poprzednim wcieleniu. W co najmniej kilkunastu miejscach nowej strategii bezpieczeństwa można przeczytać otwartą krytykę internacjonalizmu i zaangażowania międzynarodowego Stanów Zjednoczonych po 1945 r. Pod tym względem to prawdziwy przełom, coś na kształt doktryny Monroego z 1823 r., kiedy to Waszyngton ogłaszał niepodzielne panowanie nad półkulą zachodnią, chcąc powstrzymać dalszą ekspansję europejskiego kolonializmu. W zamian za to deklarował jednak, że powstrzyma się od interwencji w Europie, również politycznie.

Trump aż tak hojny wobec Starego Kontynentu nie jest, ale zrywa ze wszystkim, co kształtowało powojenną amerykańską politykę zagraniczną. Czyli z promocją demokracji i wolnego handlu, multilateralizmem, bezwarunkowym wspieraniem sojuszników, zaangażowaniem w instytucje międzynarodowe, ze stałą obecnością wojskową oraz zwalczaniem dyktatur i terroryzmu. Niczego takiego Stany Zjednoczone nie zamierzają już robić poza granicami własnego kraju. A i wobec siebie, zwłaszcza jeśli chodzi o wartości demokratyczne, wielkich projektów nie zapowiadają.

Z nami albo przeciw nam

Publikacja z 5 grudnia jest ostatecznym dowodem na to, że dzisiejsza Partia Republikańska, kierowana przez Trumpa i Vance'a, nie ma nic wspólnego z ugrupowaniem Reagana i Busha. Ci ostatni prezydenci byli internacjonalistami, wierzyli w misyjną rolę Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej. Jeśli dzisiejsza amerykańska elita polityczna widzi siebie w jakikolwiek sposób w szerszym świecie, to raczej jako emisariuszy jego skrajnie wykluczającej wizji. To, jak reszta planety ma wyglądać w świetle nowej strategii bezpieczeństwa, można zdefiniować za pomocą trzech haseł: szczelne granice, biała supremacja, chrześcijaństwo.

Wszyscy, którzy nie zgodzą się z taką perspektywą, zostaną przez obecną władzę w Białym Domu surowo ukarani. Co zresztą oficjele z Waszyngtonu mówią już otwartym tekstem, wskazując, że regulacje unijne zagrażają zwiększaniu zdolności obronnych wewnątrz NATO. Nieważne, że chodzi o dwie kompletnie osobne, powołane w skrajnie różnych celach instytucje. Trump dał jasno do zrozumienia, że od dzisiaj USA rozmawiają ze światem w kategoriach binarnych. Albo jesteście z nami, albo przeciw nam.

Ta strategia nie jest strategią czasów pokoju, tylko wojny. Z tą różnicą, że – jak na łamach „New York Timesa" zauważył David Wallace-Wells – trumpizm właśnie objawił się jako forpoczta globalnej wojny kulturowej. Od 5 grudnia wiemy już ponad wszelką wątpliwość, że w tym, co kiedyś nazywaliśmy Zachodem, powstały dwie całkowicie różne wizje tego Zachodu. Jest wizja europejska, oparta na demokracji, praworządności i skoncentrowanych na jednostce prawach człowieka. Oraz wizja amerykańska, reakcjonistyczna, skupiona na tym, czego nie wolno i kto w tej wizji się nie mieści. Pola do kompromisu raczej już tu nie będzie. Co więcej, Amerykanie nie ukrywają, że użyją wszelkich dostępnych środków, w tym tych z sektora prywatnego, jak wielkie korporacje technologiczne, żeby doprowadzić do korzystnych dla nich zmian ustrojowych w europejskich demokracjach.

Zresztą nie tylko w Europie, bo jeśli się wczytać głębiej w dokument, łatwo zobaczyć, że nawet takie kraje jak Indie zostały w nim upokorzone – chodzi o konieczność zgadzania się na amerykańskie standardy w technologiach biomedycznych czy sztucznej inteligencji. Zaczyna się krucjata, której efektem ma być amerykańska dominacja wszędzie tam, gdzie nie będą rządzić Chińczycy. Według Trumpa świat może po prostu pomieścić dwie superpotęgi – i nikogo więcej.

Mateusz Mazzini

> MAGA krzyczy na Europę, ale faktycznie gniew kieruje pod adresem własnej klasy politycznej.

eprasa.pl 1217c1a75a

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Potęga sztuki nieodwracania wzroku

Bywa sztuka filmu dokumentalnego formą ukojenia, źródłem energii, podtrzymaniem, gdy jest beznadziejnie, uporczywością „bycia człowiekiem w potwornym czasie" (czyli chyba zawsze). Ta górnolotna deklaracja ciśnie mi się na usta po obejrzeniu podczas tegorocznej edycji festiwalu Watch Docs filmu Laury Poitras i Marka Obenhausa „Cover-Up (Zatajone: Seymour Hersh na tropie prawdy)", którego bohaterem jest legenda amerykańskiego i światowego dziennikarstwa śledczego, laureat nagrody Pulitzera za ujawnienie masakry w Mỹ Lai w Wietnamie z 1968 r.

Amerykańscy żołnierze na rozkaz swoich przełożonych wymordowali cywilów, w tym kobiety, dzieci i niemowlęta, by podnieść statystyki walki z partyzantami Wietkongu. Jeden ze sprawców mówi reporterowi, że wśród dzieci, do których strzelał, były i takie niepotrafiące jeszcze chodzić: „Chyba nie były jednak z Wietkongu…". Hersh, idąc krok za krokiem za poszlakami i śladowymi tropami, ujawnia prawdę o zbrodni wojennej USA, która wstrząsa zarówno samą Ameryką, jak i światem.

Od tej pierwszej opisanej przez niego zbrodni, ukrywanej przez najwyższe dowództwo sił zbrojnych USA i najwyższych urzędników państwowych z prezydentem Nixonem i sekretarzem stanu Kissingerem, jest znienawidzony przez dowództwo wojskowe, szefostwo CIA, prezydenta. Nixon, zmuszony w końcu do ustąpienia ze stanowiska, mówi na jakimś zachowanym nagraniu: „Ten Hersh to skurwysyn, ale trzeba przyznać, że pisze zawsze prawdę". Uważa się, że dziennikarska robota Hersha bezpośrednio przyczyniła się do zakończenia wojny USA w Wietnamie.

Seymour Hersh, urodzony w 1937 r., syn żydowskiego uchodźcy z Litwy z lat 20. XX w., przez prawie dwie dekady odmawiał Laurze Poitras zgody na realizację filmu o sobie. Wcześniej Poitras wraz z Glennem Greenwaldem zrobiła oscarowy dokument o Edwardzie Snowdenie, informatyku CIA, który zdecydował się ujawnić fenomen globalnej, systemowej inwigilacji prowadzonej przez amerykańskie agencje rządowe (CIA i NSA). Swoje sekrety i dokumenty powierzył właśnie tej dwójce niezależnych reporterów. W efekcie Poitras nakręciła dokument, a Greenwald napisał książkę.

Sy Hersh w kolejnych latach przyprawiał o ból głowy i nierzadko dymisje najwyższych urzędników państwowych, w tym szefów CIA, publikując sensacyjne wyniki swoich śledztw. Obok Carla Bernsteina i Boba Woodwarda z „The Washington Post" uczestniczył w ujawnieniu afery Watergate, która ostatecznie położyła kres prezydenturze Nixona. Ujawnił szczegóły operacji „Azorian" i działań CIA, w wyniku których zamordowany został podczas faszystowskiego puczu prezydent Chile Salvador Allende, a władzę nad krajem przejął totumfacki USA gen. Pinochet – jego rządy spłynęły krwią więźniów politycznych, był to czas masowych tortur i innych zbrodni. To Hersh przyczynił się do ujawnienia posiadania przez Izrael broni jądrowej (oficjalnie Izrael nadal się do tego nie przyznaje); ujawnił powiązania saudyjskiej rodziny królewskiej z administracją prezydenta George'a W. Busha; opisał romans prezydenta Kennedy'ego z Marilyn Monroe. Potem było zdemaskowanie tortur, jakim żołnierze US Army poddawali więzionych w Abu Ghurajb, i tuszowania tego procederu przez najwyższe władze wojskowe i państwowe. Mając 85 lat, Hersh opisał udział USA w szkoleniu nurków, którzy wysadzili gazociąg Nord Stream we wrześniu 2022 r.

W filmie widzimy dość powściągliwego opowiadacza własnej historii, któremu woda sodowa nie uderzała do głowy, lecz demony opisywanych potworności przekładały się na jego psychikę. W toku narracji, jak niebywale nie bez przyczyny, pojawiają się sceny dokumentujące pracę niemal 90-letniego reportera nad materiałami otrzymywanymi z Gazy. Nieopisana jeszcze historia tego ludobójstwa „transmitowanego na żywo" jest jakby zwieńczeniem całej historii zbrodni wojennych i masakr dokonywanych przez USA w ostatnich 60 latach. Jest niejako genealogią ludobójstwa, którego USA są niepodważalnym współautorem. Kiedy na koniec twórcy filmu pytają Hersha, dlaczego z takim uporem opisuje i śledzi te wszystkie potworności, odpowiada: „Jak mógłbym odwrócić wzrok?".

Powiedzieć, że Sy Hersh wyznacza najwyższe standardy dziennikarskiego rzemiosła, które staje się sztuką, to nic nie powiedzieć. Jeśli wciąż możemy wiązać jakieś nadzieje z mediami i dziennikarstwem, to dzięki Hershowi. Albo będzie on punktem odniesienia i wzorcem, albo będziemy obserwować śmierć tej przygody. Dzisiaj dziennikarstwo stoi zasadniczo po stronie możnych i władców tego świata, przymykając oczy na wszystko, co mogłoby zaburzyć ten wiernopoddańczy obraz. Media korporacyjne mają swoje obowiązki korporacyjne, których nie da się pomylić z misją publiczną, powołaniem do krytycznego oglądu działań władzy. Każdej władzy.

Ku mojemu zdumieniu pojawiają się zapowiedzi, że film Poitras i Obenhausa będzie dostępny na platformie Netflix, co byłoby spełnieniem się przewidywań Lenina, że „kapitaliści sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy". Oby. A bohaterowi oraz autorce i autorowi filmu wielkie, pokojowe, antymilitarystyczne, prawoczłowiecze chapeau bas. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1217c1a75a

Francja jako hub AI

Strategiczne porozumienie z krajami Zatoki Perskiej pozycjonuje Francję jako europejskie centrum sztucznej inteligencji

Spotkanie Emmanuela Macrona z prezydentem Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Muhammadem ibn Zajidem al-Nahajjanem w pałacu Al-Mushrif w Abu Zabi. 15 maja 2022 r.

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Na początku 2025 r. Francja i Zjednoczone Emiraty Arabskie podpisały umowę ramową o budowie wielkiego projektu – kampusu z centrum danych dla AI o mocy 1 GW. Koszt inwestycji szacowany jest na 30-50 mld dol. Z kolei partnerstwo z Arabią Saudyjską obejmuje współpracę w dziedzinie zaawansowanej technologii (deep tech), AI i ekosystemów start-upowych. Saudyjczycy skupiają się na dywersyfikacji gospodarki i widzą w AI kluczowy czynnik wzrostu. Dzięki tym działaniom Francja, przechodząca bezprecedensowy w XXI w. kryzys, zyskuje dostęp do kapitału, talentów i infrastruktury międzynarodowej, wzmacniając jednocześnie swoją pozycję wobec konkurencji z USA i Chin, jeżeli chodzi o rozwój nowych technologii.

Zmiana kierunków zależności

W obliczu coraz szybciej zmieniającego się świata i przemian technologicznych państwa Zatoki Perskiej, które dotychczas bogaciły się dzięki złożom ropy naftowej, są zmuszone przenieść ciężar inwestycji na inny obszar. Staje się nim stopniowo sztuczna inteligencja. Transformacja gospodarcza skłania te kraje do nawiązywania współpracy z państwami mającymi realny potencjał dla rozwoju AI.

Choć najnowsze partnerstwo Francja zawarła ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, to Arabia Saudyjska, jako największa gospodarka regionu i lider w obszarze AI, wyznacza trend transformacji, który wpływa na całą Zatokę. Scentralizowana polityka Arabii Saudyjskiej zakłada długoterminową strategię inwestycyjną. Jak czytamy w raporcie francuskiego Ministerstwa Gospodarki, Finansów oraz Suwerenności Przemysłowej, Energetycznej i Cyfrowej, Saudyjski Urząd ds. Danych i Sztucznej Inteligencji (Saudi Data & AI Authority, SDAIA) utworzony w 2019 r. nadzoruje realizację Narodowej Strategii Danych i Sztucznej Inteligencji (National Strategy for Data & AI, NSDAI).

Dzięki tej strategii, z początkowym budżetem 20 mld dol., królestwo do 2030 r. ma się uplasować wśród 15 najważniejszych państw świata w dziedzinie AI. Wyszkolonych zostanie 20 tys. specjalistów, będzie ona też wsparciem powstania ponad 300 start-upów opartych na technologiach sztucznej inteligencji.

Warto w tym kontekście podkreślić, że Arabia Saudyjska zajmuje obecnie 14. miejsce na świecie pod względem potencjału w dziedzinie AI i jest pierwszym państwem arabskim w tym rankingu. Fundusz utworzony na ten cel wynosi 40 mld dol. Powołano także spółkę Humain, z kapitałem docelowym 100 mld dol., która ma wspierać dywersyfikację gospodarki i uniezależnienie jej od ropy naftowej.

Królestwo, jeśli chodzi o ramy regulacyjne AI, idzie w kierunku standardów europejskich, zachowując przy tym przestrzeń dla innowacji. To m.in. dzięki przejrzystości instytucjonalnej i nowoczesnym regulacjom Arabii Saudyjskiej udaje się przyciągać zainteresowanie rządów i przedsiębiorstw. Ta ewolucja nakreśla geopolityczną zmianę kierunków zależności, zorientowaną dziś na AI,

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1217c1a75a

NOWOŚĆ Po raz pierwszy! Już w grudniu! Przegląd

Firma Kolporter Sp. z o.o. zaczyna przyjmować prenumeratę „Przeglądu" dla instytucji.

Informacje pod numerem infolinii +48 41 367 88 88 lub na stronie internetowej www.kolporter.com.pl

KOLPORTER

deep tech oraz infrastrukturę danych, które stają się nowym filarem jej strategii rozwojowych.

Można wobec tego stwierdzić, że zamiast w petrodolary Arabia Saudyjska i ZEA zaczęły inwestować w „algorytmiczne dolary", a Paryż ze swoimi technologicznymi ambicjami, wysokim poziomem dyplomacji i infrastruktury naukowej odgrywa rolę uprzywilejowanego partnera.

Odzyskać wpływy na świecie

Nie ulega wątpliwości, że Europa również przechodzi bezprecedensowy kryzys. Zmniejszenie jej wpływu na arenie międzynarodowej to tylko jeden z problemów wynikających ze stagnacji w poszczególnych dziedzinach polityki.

Emmanuel Macron szuka wobec tego nowych rozwiązań, w skład których wchodzi soft power (miękka siła). Podpisane kilka miesięcy temu w Paryżu porozumienie o partnerstwie strategicznym w dziedzinie sztucznej inteligencji pomiędzy Francją a ZEA zakłada utworzenie kampusu, który ma rozwijać „konsorcjum francusko-emirackich liderów", w szczególności przez fundusz inwestycyjny MGX powiązany ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Ambicje prezydenta Macrona mogą wskazywać, że będzie to największy kampus AI w Europie.

Według komunikatu Pałacu Elizejskiego współpraca obejmuje ponadto „inwestycje w sektor AI we Francji i w Emiratach, zakup zaawansowanych chipów, centra danych, rozwój talentów, a także stworzenie wirtualnych ambasad danych umożliwiających budowę suwerennej infrastruktury AI i usług chmurowych w obu krajach, co będzie stanowić podstawę do budowy konkurencyjnej potęgi wobec Stanów Zjednoczonych i Chin".

W obliczu słabnących wpływów na świecie, np. w Afryce, Francja nie tylko szuka pola nowej współpracy, ale też postrzega AI jako narzędzie pomocne w odzyskaniu międzynarodowych wpływów. Sztuczna inteligencja jest wobec tego sektorem strategicznym, dzięki któremu można zrealizować trzy główne cele: zmniejszyć zależność od USA, uniezależnić się od Chin pod względem infrastruktury oraz, co najistotniejsze, wzmocnić autonomię cyfrową UE. Francja ze swoim potencjałem akademickim (mimo że malejącym z braku funduszy), na który składają się chociażby największa francuska publiczna agencja badawcza CNRS czy park naukowo-technologiczny Paris-Saclay, stanowi unikatowy ekosystem badawczy, atrakcyjny dla regionu Zatoki Perskiej. Niniejszym AI staje się częścią francuskiej doktryny strategicznej (jak niegdyś atom, lotnictwo, TGV) i – poprzez wzmocnienie dyplomacji technologicznej – kluczowym narzędziem soft power.

> Stawiając na AI, Francja zyskuje dostęp do kapitału, talentów i międzynarodowej infrastruktury, wzmacnia też swoją pozycję wobec USA i Chin.

Szansa dla Polski

Francja zwraca się zatem ku innemu obszarowi geograficznemu, by nie stać się cyfrową kolonią USA, które mają monopol na biznes technologiczny. Model europejski, coraz bardziej pokrywający się z modelem, w stronę którego zmierzają państwa Zatoki, stoi w opozycji do amerykańskiej komercjalizacji i chińskiego modelu autorytarnego.

Wyścig o kompetencje, kapitał oraz talenty technologiczne może być także szansą dla Polaków, wzmocnić wpływ Polski na światowy proces rozwojowy. Aby zapobiec odpływowi talentów np. do USA, trzeba przemyśleć inwestycje infrastrukturalne w sztuczną inteligencję oraz polską strategię narodową, która mogłaby być wzorowana na francuskiej (biorąc pod uwagę skalę, jasno wyznaczone cele, przyciąganie kapitału itd.), z podkreśleniem znaczenia „wielkiej narracji technologicznej", którą potrafił zbudować Emmanuel Macron.

Obserwacja tych trendów jest szczególnie istotna. Rozwój Francji jako europejskiego centrum AI pokazuje, że konkurencja technologiczna w Europie przyśpiesza. Państwa, które nie inwestują w sztuczną inteligencję i infrastrukturę cyfrową, szybko mogą stracić pozycję na rynku innowacji. Polska, mająca potencjał, by stać się liderem w Europie Środkowo-Wschodniej, powinna uważnie śledzić ruchy Paryża i równocześnie rozwijać własne strategie wsparcia start-upów i badań – poprzez dofinansowanie szkolnictwa wyższego oraz inwestycji zagranicznych. Dysponuje przecież dużą liczbą ekspertów w dziedzinie nowych technologii, których umiejętności często nie są w pełni doceniane na rodzimym rynku pracy. Prowadzi to do ucieczki talentów na Zachód (przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych) i osłabia szanse Polski na przejęcie pozycji regionalnego centrum innowacji.

Budowa atrakcyjnego ekosystemu AI właśnie teraz mogłaby zatrzymać ekspertów w kraju – ich potencjał posłużyłby wzmocnieniu gospodarki oraz pozycji Polski w Europie. ■

eprasa.pl 1217c1a75a

Mała nacja daje przykład

Od Słowenii możemy wiele się nauczyć w kwestii imigrantów i mniejszości

Chrystian Ślusarczyk

Gdy Słowenia stanowiła najbardziej wysuniętą na zachód – geograficznie i mentalnie – część Jugosławii, uchodziła za obszar wzorcowy. Już jako republika związkowa przez lata należąca do Jugosławii Tity przyciągała mieszkańców Macedonii, Czarnogóry lub Kosowa, ludzi innej religii, posługujących się innym językiem. Wewnętrzni migranci jugosłowiańscy w małej republice zaczynali nowe życie. Władze i społeczeństwo mają więc od dziesięcioleci „administracyjną styczność" z imigrantami. I spore doświadczenie.

Odpryski jugosłowiańskiego dziedzictwa

System ochrony mniejszości, z którego czerpie dzisiejsza Słowenia, został odziedziczony po okresie Jugosławii, gdzie okręgi Wojwodina czy Kosowo, jako części republiki związkowej o nazwie Serbia, cieszyły się wyjątkowo szeroką autonomią. „Jeśli chodzi o podwaliny ochrony praw mniejszości, położone przez ówczesny system prawny Socjalistycznej Jugosłowiańskiej Republiki Słowenii, to żaden inny kraj europejski do dziś nie osiągnął tak wysokich standardów", podkreślił w wywiadzie dla portalu Balkan Insight Dejan Valentinčič, specjalista od prawa konstytucyjnego Słowenii.

Teraz w dwumilionowym kraju, o powierzchni porównywalnej z województwem dolnośląskim, oficjalnie funkcjonują tylko dwie mniejszości – włoska na wybrzeżu adriatyckim i w pobliżu granicy z Włochami oraz węgierska w regionie Prekmurje na równinie przy granicy z Węgrami. Prawa obu mniejszości są zapisane w konstytucji z 1992 r.

Słoweńscy Węgrzy i Włosi mają zagwarantowane m.in. dwujęzyczne dowody osobiste i paszporty, dwujęzyczne media, możliwość nauki w swoich językach. Władze w Lublanie doprowadziły nawet do tego, że na obszarach zamieszkiwanych przez owe mniejszości zarówno etniczni Węgrzy i Włosi, jak i Słoweńcy muszą się uczyć słoweńskiego oraz pozostałych dwóch języków w równym stopniu. To wyjątkowe podejście, które wyróżnia Słowenię na tle innych krajów – osoby posługujące się językiem większości muszą również uczyć się języka mniejszości. W niepodległej Słowenii nigdy zresztą nie kwestionowano prawa przedstawicieli innych narodowości (nie tylko włoskiej i węgierskiej) do zapisywania swoich nazwisk w oryginalnym alfabecie. Dodatkowo słoweńska konstytucja gwarantuje każdej mniejszości deputowanych w Zgromadzeniu Narodowym i radnych w gminach.

Warto zwrócić uwagę na sytuację osób pochodzących z pozostałych krajów byłej Jugosławii. Przedstawiciele siedmiu nacji nie są konstytucyjnie uznawani za mniejszość narodową i cieszą się sporymi prawami w porównaniu z imigrantami w innych krajach Europy. Słowenia co roku udziela tym narodowościom wsparcia. Od 2024 r. jest to 300 tys. euro, a w słoweńskich mediach przeczytamy, że ta kwota ma wzrosnąć.

Wielowymiarowa szczodrość słoweńskich władz wobec mniejszości nie znajduje odzwierciedlenia u sąsiadów. Ani we Włoszech, w okolicy Triestu, ani w austriackiej Karyntii mniejszość słoweńska obecnie czy w najbliższej przyszłości nie może liczyć na takie same demokratyczne bonusy, jakie zapewnia Lublana. W Słowenii bowiem członkowie mniejszości mają podwójne prawo głosu, tj. wybierają zarówno swoich przedstawicieli, jak i kandydatów, na których głosuje ogół obywateli kraju. Ponadto dwóch posłów mniejszości w 88-osobowym parlamencie ma absolutne prawo weta w kwestiach swojej grupy narodowościowej. W tym zakresie nic nie może zostać przyjęte bez ich woli i zgody.

Słowenia poza tym bardziej humanitarnie odnosi się do mniejszości, która od Słowacji po całe Bałkany sprawia największe problemy i jest źródłem najczęstszych konfliktów, czyli do Romów. Słoweńscy Romowie mają zagwarantowany specjalny status, choć nie aż tak dalece wolnościowy jak Włosi i Węgrzy. Mają również prawo do własnego radnego w gminach, w których są rdzennymi mieszkańcami.

Racjonalni i przewidujący

Dokładnie 10 lat temu do Słowenii dotarły pierwsze duże grupy uchodźców z ogarniętego wojną Bliskiego Wschodu. Po zamknięciu przez Budapeszt granicy węgierskiej z Serbią tysiące ludzi napłynęło do Chorwacji, a następnie do najmniejszej w regionie Słowenii. W ciągu zaledwie trzech dni do kraju dotarło niemal 4 tys. migrantów, zapoczątkowując zjawisko, które wkrótce osiągnęło bezprecedensowe rozmiary. Tym bardziej że miesiąc później zamknięto także granicę węgiersko-chorwacką, a główny potok migracyjny skierował się na Słowenię. W ciągu kilku miesięcy na jej terytorium znalazło się ponad pół miliona przybyszów.

Dla Lublany stanowiło to niezwykłe wyzwanie logistyczne: władze musiały zadbać o noclegi, opiekę zdrowotną, wyżywienie i transport. Do pomocy zaangażowano obronę cywilną, policję, wojsko, organizacje pozarządowe i tysiące wolontariuszy.

eprasa.pl 1217c1a75a

Imigranci przekraczają granicę chorwacko-słoweńską. 22 października 2015 r.

Według zagranicznych obserwatorów Słowenia z kryzysem poradziła sobie wzorowo. Wyważone działania władz docenili imigranci kierujący się do wymarzonych Niemiec. Część postanowiła skrócić wędrówkę i w nowej ojczyźnie mieszkają do dziś.

Portal Balkan Insight informuje, że choć Słowenia wielu wydaje się krajem tranzytowym, rzeczywistość tego nie odzwierciedla. W coraz większym stopniu bowiem gospodarka musi się opierać na zagranicznej sile roboczej. Zdają sobie z tego sprawę władze i pracodawcy. Rozumie to także starzejące się, choć wolniej niż w Polsce (dzięki napływowi imigrantów), społeczeństwo. W 2024 r. ok. 16%, a w połowie tego roku prawie 18% siły roboczej w Słowenii stanowili obywatele innych krajów, głównie z Bałkanów Zachodnich oraz Ukrainy, Nepalu, Indii i Filipin.

Obecnie w Słowenii przebywa ok. 900 osób ubiegających się o azyl. Szanse na pozytywne rozpatrzenie ich podań są duże. Kolejne 250 osób złożyło wniosek o ochronę międzynarodową, a 1,3 tys. cudzoziemców otrzymało już status uchodźcy. Ponadto w kraju przebywa prawie 10 tys. uchodźców z Ukrainy i 150 tys. pracowników zagranicznych.

W Słowenii nie brakuje stowarzyszeń wolontariackich, które podejmują oddolne inicjatywy: uczą języka i pomagają imigrantom w przejściu przez labirynt zezwoleń i nakazów – i tak łatwiejszy niż w wielu krajach Zachodu. Dodatkowe wyzwania stwarza integracja migrantek na rynku pracy.

Prointegracyjna polityka Lublany przyczynia się też do coraz liczniejszych powrotów Słoweńców, m.in. emigrantów z czasów byłej Jugosławii, z Europy Zachodniej, najczęściej z Niemiec (23%), Austrii (17%) i Szwajcarii (11%). Ale także z sąsiedniej Chorwacji. Warto jednak pamiętać, że choć Słowenia nie zamyka się na „pewnych i sprawdzonych imigrantów", rząd przedłużył do 21 grudnia br. kontrole na wewnętrznej granicy Unii Europejskiej z Chorwacją i Węgrami. Kontrole, planowane pierwotnie jako tymczasowe, wprowadzono pod koniec 2023 r. i co kilka miesięcy są przedłużane.

Prawo nadąża, społeczeństwo wspiera

W Słowenii czasowe zawieszenie praw azylowych nigdy formalnie nie zostało wprowadzone. Mało tego, prawo, które dopuszczało taką możliwość, sądy uznały za niezgodne z konstytucją.

Amnesty International, międzynarodowa organizacja pozarządowa, której celem jest zapobieganie naruszeniom praw człowieka, opracowała plan reform dotyczących migracji, oparty na trzech filarach: zagwarantowaniu dostępu do procedur azylowych, przejrzystości w procesie odesłań oraz wzmocnieniu lokalnych usług integracyjnych. W warunkach słoweńskich wszystkie te trzy filary przyjęły się i funkcjonują lepiej niż w innych krajach. Działania tamtejszych służb, i to wszystkich bez wyjątku, są ważnym sygnałem dla krajów ościennych, gdzie współpraca między instytucjami a społeczeństwem obywatelskim bywa słaba i nieskuteczna.

Podobnie jak inne kraje regionu Słowenia doświadczyła w ostatnich latach wzrostu populizmu i polaryzacji. Kwestia migracji była wykorzystywana w debacie politycznej, zwłaszcza przez prawicę i byłego premiera Janeza Jansę. Ale w odróżnieniu od sąsiednich Węgier czy Słowacji próby budowania kampanii przeciwko imigrantom nie trafiały na podatny grunt. Zwłaszcza że słoweński Trybunał Konstytucyjny wielokrotnie przypominał władzom o obowiązku poszanowania praw podstawowych. W 2020 r. orzekł, że niektóre przepisy ograniczające swobodę poruszania się są niekonstytucyjne.

Ważne jest również przeciwdziałanie dezinformacji, w co zaangażowane są uczelnie i ośrodki badawcze, np. Instytut Studiów Etnicznych w Lublanie. Niewielka powierzchnia kraju ułatwia nie tylko komunikację, ale i śmiałe eksperymentowanie w kwestiach imigrancko-mniejszościowych. Te eksperymenty mają pokazać, że kraj, który ceni i akceptuje różnorodność, a nie obawia się jej, jest na dobrej drodze do stabilności gospodarczo-społecznej.

„W Słowenii dyskurs na temat imigracji ma mniejszą skalę, ale jest też łatwiejszy w zarządzaniu", uważa Mitja Žagar, politolog i współzałożyciel Instytutu Pokoju w Lublanie. Oczywiście nie mamy do czynienia z ideałem. Jednak na tle miotających się gigantów Zachodu, zmieniających co chwila reguły przyjmowania obcych, Słowenia oferuje ponadczasowe i skuteczne lekcje akceptacji różnic. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1217c1a75a

ZDJĘCIA ROKU AFP

1. Donald Trump wita Władimira Putina na lotnisku w bazie Elmendorf-Richardson w Anchorage na Alasce, 15 sierpnia 2025 r. Putin przyleciał na zaproszenie Trumpa; była to jego pierwsza wizyta w USA od czasu inwazji na Ukrainę w 2022 r.
2. Prezydent USA i prezydent Ukrainy spotkali się w Białym Domu 28 lutego 2025 r. Wołodymyr Zełenski podkreślał, że nie powinno być żadnych kompromisów, gdy negocjuje się zakończenie wojny z Putinem.
3. Elon Musk podczas przemowy w hali Capital One Arena w Waszyngtonie z okazji inauguracji drugiej prezydentury Donalda Trumpa, 20 stycznia 2025 r.

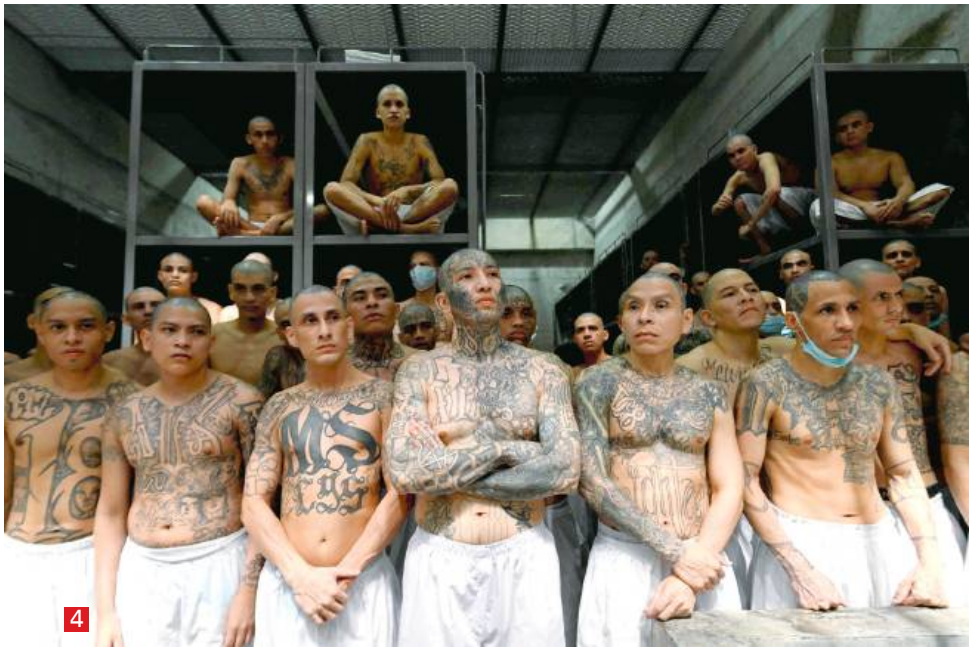

eprasa.pl 1217c1a75a

3

FOT. AFP/ EAST NEWS

4. Największe więzienie „antyterrorystyczne” w Ameryce Łacińskiej, w mieście Tecoluca w Salwadorze. Osadzeni są tam członkowie gangów. 27 stycznia 2025 r.
5. Strażnicy Kenya Wildlife Services podczas operacji relokacji zwierząt. Naivasha w Kenii, 16 listopada 2025 r.
6. Zniszczone przez cyklon Chido slamsy w stolicy Majotty, Mamoudzou, 2 stycznia 2025 r. W takich prowizorycznych domach mieszka jedna trzecia ludności.

6

eprasa.pl 1217c1a75a

Kto się boi potwora katastru?

Podyskutujmy poważnie o polskim regresywnym systemie podatkowym

Tadeusz Klementewicz

W artykule „Jak to się stało?" (nr 50/2025) red. Marek Czarkowski nakreślił obraz nierówności po polsku. Wskazał kluczowe przyczyny tego, jak jest. Mówi zarazem, co z tym zrobić – m.in. rozpocząć poważną debatę nad reformą systemu podatkowego.

Taki sam wniosek formułują autorzy pierwszych badań nad rozkładem dochodów i majątków w Polsce w duchu metodologii szkoły Thomasa Piketty'ego. A więc nie na podstawie ankiet, jak to robią GUS czy inne think tanki, ale opierając się na danych z urzędów skarbowych. To zatem pierwszy w Polsce wyrazisty obraz nierówności dochodowych i majątkowych. Ale żeby go skorygować, trzeba skonstruować dobrą politykę podatkową. Do tego jest konieczna „otwarta, przejrzysta i świadoma debata publiczna, oparta na jakościowych danych" (P. Bukowski, J. Sawulski, M. Brzeziński, „Nierówności po polsku. Dlaczego trzeba się nimi zająć, jeśli chcemy dobrej przyszłości nad Wisłą", 2024).

Obecnie debatę paraliżują propagandowe triki nadwiślańskich liberałów. W przestrzeni publicznej wybrzmiewają tylko argumenty przeciwników reformy podatków. I brzmią groźnie: kiedy podatki wzrosną, najlepiej zarabiający ograniczą inwestycje, tym samym osłabnie wzrost gospodarczy. Co więcej, to byłaby kara za zaradność i demotywacja dla przedsiębiorczych. W ostateczności firmy uciekną przed wyższymi podatkami do innych państw. Ale nawet ci, którzy najbardziej by skorzystali na reformie, mają mózgi zamulone antypodatkową fobią. Recepcja świata społecznego kształtuje się teraz w kalejdoskopie memów i podkastów, i to tak, by odbiorca nie mógł adekwatnie rozpoznać swojego miejsca w społecznym podziale pracy i własności. W ten sposób rodzi się „zdziecinniały obywatel": bez tożsamości, nabuzowany przez różne media emocjami. Każdy, kto kwestionuje obiegowe mądrości, zasługuje na odium (rosyjska onuca, komunista, populista), np. dla uśmiechniętego komentariatu skrajnym lewactwem jest postulat, by państwo stało się arbitrem między kapitałem, pracą i przyrodą.

> Całkowite opodatkowanie górnych 10% obywateli jest prawie o jedną trzecią niższe niż opodatkowanie dolnych 50%.

Dlatego kultowego bohatera filmu „Miś", Wacława Jarząbka, jego dzieci i wnuków nie oburzy ucieczka korporacji od podatków, nie potępią oni lokowania kapitału w mieszkania. Nie przeszkadza im to, że rośnie w Polsce liczba miliarderów ani że amerykańscy bogacze biją kolejne rekordy pomnażania majątku, podczas gdy miliony zmagają się z inflacją, z kryzysem mieszkaniowym, z coraz trudniejszym dostępem do usług publicznych. Z wyrozumiałością przyjmą też psucie warunków pracy, uwiąd uzwiązkowienia.

Ich antypodatkowy ból można zrozumieć, ale trudno wybaczyć. W wyniku obniżki podatków, do której gorliwie namawia m.in. tiktokowy Sławomir Mentzen z Konfederacji, na ich kontach pojawiłaby się stosunkowo niewielka dodatkowa kwota. Dzięki niej mogliby kupić więcej kuponów Lotto czy Multi Multi. Tymczasem ich patron, błogosławiony tworzący miejsca pracy, kupi lepszy model samolotu albo chociaż zainwestuje w Nowej Kaledonii – jednym z ulubionych miejsc polskich „inwestorów".

Kiedy wschodniego komisarza zastąpił zachodni inwestor

Lata 90. to czas tworzenia zintegrowanej światowej gospodarki, aby wzmóc obrót kapitału finansowego. Polska została przyłączona do pajęczyny 43 tys. firm. A nimi, według znanych badań szwajcarskich naukowców z politechniki w Zurychu, kieruje 737 banków, towarzystw ubezpieczeniowych, a także wielkich grup przemysłowych. To ta pajęczyna wielkich korporacji stworzyła łańcuchy wartości łączące poszczególne gospodarki narodowe. Dokonał się podział każdego społeczeństwa na segmenty korzystające z ich inwestycji (poddostawcy, menedżerowie kierujący filiami) i miliony montażystów,

eprasa.pl 1217c1a75a

pracowników w strefach specjalnych, bez umów o pracę, bez świadczeń socjalnych. Proces ten pogłębił nierówności dochodowe.

To tej pajęczynie Polska oddała swój rynek wewnętrzny, system bankowy, sprywatyzowała wielkie zakłady zbudowane i za II RP, i w okresie Polski Ludowej. Przywódcy demokratycznej opozycji z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem na czele szybko przeszli na wiarę w neoliberalne dogmaty. Tę ideologiczną metamorfozę opisał amerykański socjolog David Ost w książce „Klęska Solidarności". Odtąd to „Gazeta Wyborcza" głosiła rodakom nową objawioną prawdę o gospodarce.

Skutki tych zmian miały z czasem przynieść owoce wszystkim. Najpierw miały się bogacić elity, a potem te krasnoludki, które współtworzą ich bogactwo. Mit ów leży u podstaw polityki gospodarczej kolejnych rządów. I to one określiły obciążenia podatkowo-składkowe współtwórców 20. gospodarki świata. Piszę z ironią, bo w istocie neoliberalna transformacja po 1989 r. nie rozwiązała polskiego problemu milenium, czyli zacofania wobec centrum cywilizacji najpierw rolniczej, a obecnie hiperprzemysłowej. Tkwimy wciąż na peryferiach globalnego systemu kapitalizmu. I wciąż naszą przewagą jest tania praca i łatwość transferowania zysków. Według najnowszego raportu PKO BP Polska ma ujemną międzynarodową pozycję inwestycyjną netto (minus 242 mld euro). Rocznie na konta amerykańskich i europejskich akcjonariuszy, udziałowców, pożyczkodawców wpływa z dywidend 15 mld euro.

Jak wynika z badań polskich ekonomistów ze szkoły Piketty'ego, polski system podatkowy jest silnie regresywny – tylko w Serbii, Chorwacji i Rumunii osoby o wysokich dochodach są bardziej uprzywilejowane. Znaczy to, że całkowite opodatkowanie górnych 10% obywateli jest prawie o jedną trzecią niższe niż opodatkowanie dolnych 50% (stawki względem dochodów wynoszą odpowiednio 27% i 38%). Również znacznie mniejszy niż w innych krajach jest udział podatków bezpośrednich (PIT, CIT, podatków od majątku i spadku). Przeciętne dochody z PIT w relacji do PKB są w Europie Zachodniej dwa razy wyższe, a z CIT o połowę. W pozostałych podatkach bezpośrednich są trzy razy wyższe.

Ważny w tej sytuacji jest społeczny adres: czy masz swój biznes, nawet małego misia, czy w dużym mieście jesteś korpoludkiem albo układasz towar w Biedronce, czy współpracujesz z robotem w wyciskarni potu Bezosa. A może lepiej – jesteś drużynnikiem zagranicznej korporacji, sowicie wynagradzanym, na dodatek zwolnionym z większych danin na rzecz wspólnoty dzięki podatkowi liniowemu. Wtedy podziękuj byłemu sekretarzowi PZPR Leszkowi Millerowi. Jest za co, bo rozliczający się 19-procentowym podatkiem liniowym unikają stawki 32% od dochodów powyżej 120 tys. zł rocznie. Według analiz Instytutu Badań Strukturalnych osoby prowadzące działalność gospodarczą wpłaciły do ZUS w 2016 r. nieco ponad 1 mld zł jako składki chorobowe i wypadkowe. A otrzymały z tego tytułu 3 mld zł.

Ponadto podatek od kapitału płaci się tylko od zysku. Dochody z giełdy są silnie skoncentrowane. 90% dochodu uzyskuje 10% „inwestorów". Natomiast podatek od nieruchomości płacony jest od wielkości powierzchni. I trzy czwarte płatników to przedsiębiorstwa. Łatwo uniknąć podatku od wynajmu i zakupu mieszkań – ulubionych lokat pieniędzy zaoszczędzonych na biurach poselskich, na kilometrówkach, na wynagrodzeniach za doradztwo. Tak zwana klasa polityczna jest tylko instrumentalnie i taktycznie podzielona. Mądrość każdego etapu każe jej służyć przedsiębiorczości małej i wielkiej, krajowej i zagranicznej. Na przykład kilka lat można budować Izerę, powołać w tym celu pralnię publicznych pieniędzy. Państwo ma tylko stwarzać Januszom i Rafałom biznesu odpowiednie warunki gromadzenia kapitału: tanią pracę, niskie podatki i obciążenia składkowe, deregulację prospołecznych zobowiązań. Dlatego CIT dla małych firm wynosi 9%, a dla dużych 19%. Ogółem stopa podatku od zysków obniżyła się w krajach rozwiniętych z 44% na początku lat 90. do 33%, a nawet 27% dwie dekady później. Natomiast udział płac w dochodzie narodowym systematycznie spadał, choć rosła godzinowa wydajność pracy.

I najtrudniejszy problem: jaki jest faktyczny udział przedsiębiorcy i jego kapitału w powstaniu nowej wartości? Przecież błogosławiony korzysta z dorobku wynalazców, z darów przyrody, ze znojnej pracy innych. I za to musi zapłacić! Należy mu się za inicjatywę, zaradność, kombinowanie tylko 10% – tak sądzi wielu ekonomistów: Herbert Simon, Warren Buffett, a wcześniej John Maynard Keynes.

Globalne podatki majątkowe, likwidacja rajów podatkowych i tworzenie państwowych funduszy majątkowych mogą nie wystarczyć.

Co robić?

Globalne podatki majątkowe, likwidacja rajów podatkowych i tworzenie państwowych funduszy majątkowych mogą nie wystarczyć. To będzie za mało w sytuacji, kiedy na porządku dnia staje kwestia dewzrostu, zatrzymania dewastacji planety. Areną wojny 2.0 nie będzie południowo-wschodni Pacyfik. To będzie inna wojna, druga wojna światowa z wielkimi korporacjami, z ich personelem zarządzającym, z ich udziałowcami, z bankowymi ekonomistami. Wszyscy oni czuwają nad wzrostem gospodarczym. W tym gronie jest także ogromna rzesza politycznych marionetek – w Polsce, w UE, w ojczyźnie wolnej przedsiębiorczości.

Tadeusz Klementewicz jest politologiem, profesorem nauk społecznych, wykładowcą na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalista w zakresie teorii polityki i metodologii nauk społecznych

eprasa.pl 1217c1a75a

Ostatnia kolonialna, pierwsza faszystowska

Włoska okupacja Etiopii w latach 1936-1941 pochłonęła ok. 600 tys. ofiar

Bohdan Piętka

W Polsce długo funkcjonował i chyba jeszcze funkcjonuje stereotyp włoskiego żołnierza z okresu II wojny światowej utrwalony w filmie „Giuseppe w Warszawie" – polskiej komedii wojennej z 1964 r. w reżyserii Stanisława Lenartowicza. Film opowiada o szeregowcu dezerterującym z włoskiej armii ekspedycyjnej w ZSRR i ukrywającym się w okupowanej przez Niemcy Polsce. Widzowi pokazano banał o sympatycznym amancie, kochającym piękne kobiety, śpiew, wino i makaron. Nie dramat, ale komedię.

Włoskie siły zbrojne, tak samo jak niemieckie, dopuszczały się licznych zbrodni przeciw ludzkości.

Niestety, prawda o faszystowskich Włoszech i ich armii była inna. Polityka Mussoliniego opierała się na tych samych imperialnych urojeniach, co polityka Hitlera, naznaczona była tą samą szowinistyczną pogardą dla ofiar i nie liczyła się z niczym. Włoskie siły zbrojne, identycznie jak niemieckie, dokonywały podboju z najwyższą brutalnością i dopuszczały się zbrodni przeciw ludzkości. Zostawiły po sobie spaloną ziemię w Libii, Etiopii, Albanii, Grecji, Jugosławii i na froncie wschodnim. Jeśli dziś o tym się nie pamięta, to tylko dlatego, że po 1945 r. włoscy zbrodniarze wojenni – dzięki przychylności USA i Zachodu – nie ponieśli odpowiedzialności za swoje czyny.

Włochy jako pierwsze państwo faszystowskie dokonały 90 lat temu przestępczej i niesprowokowanej przez ofiarę agresji. Okrągła rocznica najazdu Włoch na Etiopię (nazywaną wówczas Abisynią) minęła w europejskich mediach bez większego odzewu.

Wybitna włoska dziennikarka i pisarka Oriana Fallaci tak podsumowała w 1977 r. podbój Etiopii przez faszystowskie Włochy: „Trudno dziś jeszcze pisać beznamiętnie o zmarłym Hajle Syllasje. Ponieważ trudno zapomnieć, że na niego napadliśmy, obrzuciliśmy obelgami, okradliśmy go z jego kraju za sprawą niepotrzebnej wojny, którą rozpętał Mussolini 42 lata temu. W 1935 r. my też mieliśmy swój Wietnam. Nazywał się Etiopia. Kto traktuje Wietnam jako coś nowego, zapomina albo nie wie, że aby założyć tam imperium, spadliśmy na głowę narodowi, który nie wadził nikomu i który bronił się za pomocą bosego wojska, uzbrojonego praktycznie tylko w szable. Zapomina albo nie wie, że zaatakowaliśmy ten naród eskadrami Balba i Ciana, bombardując bezbronne wsie, szpitale Czerwonego Krzyża, uciekające rodziny. Wysłaliśmy oddziały marszałka Badoglia, zrzucając trujący gaz, siejąc zniszczenie i grozę. Wysłaliśmy Czarne Koszule gen. Grazianiego, plamiąc się masowymi egzekucjami, najnikczemniejszymi masakrami" („Wywiad z historią", Warszawa 2012, s. 407).

Sen o imperium

Mussolini już w 1919 r. twierdził, że imperializm jest „odwiecznym i niezmiennym prawem życia". Od początku swoich dyktatorskich rządów w 1922 r. planował utworzenie w basenie Morza Śródziemnego i w Afryce imperium włoskiego, które miało być nowoczesną wersją starożytnego Imperium Romanum. Plany te przyśpieszyły po światowym kryzysie gospodarczym (1929-1933), z którego Włochy wychodziły bardzo powoli – negatywne skutki gospodarcze w sektorze produkcji przemysłowej i zatrudnienia utrzymywały się do 1936 r.

By odwrócić uwagę społeczną od sytuacji wewnętrznej, reżim faszystowski rzucił hasło odbudowy Imperium Rzymskiego, zdobycia nowych ziem i rynków zbytu. Wojna imperialistyczna miała być sposobem na poprawę bytu narodu włoskiego. Zignorowano, tak samo jak w Niemczech hitlerowskich nieco później, na przełomie lat 1937 i 1938, sceptyczną opinię niektórych wyższych dowódców wojskowych. Wątpiących zastąpiono cynicznymi karierowiczami i bezwzględnymi wykonawcami najbardziej zbrodniczych rozkazów, takimi jak generałowie, a wkrótce marszałkowie Emilio De Bono i Rodolfo Graziani, którzy zyskali przydomki „katów Etiopii".

Pretekstem do agresji na Etiopię stały się tzw. incydenty w Gonderze i Ueluel. 17 listopada 1934 r. rzekomo miał miejsce atak żołnierzy

eprasa.pl 1217c1a75a

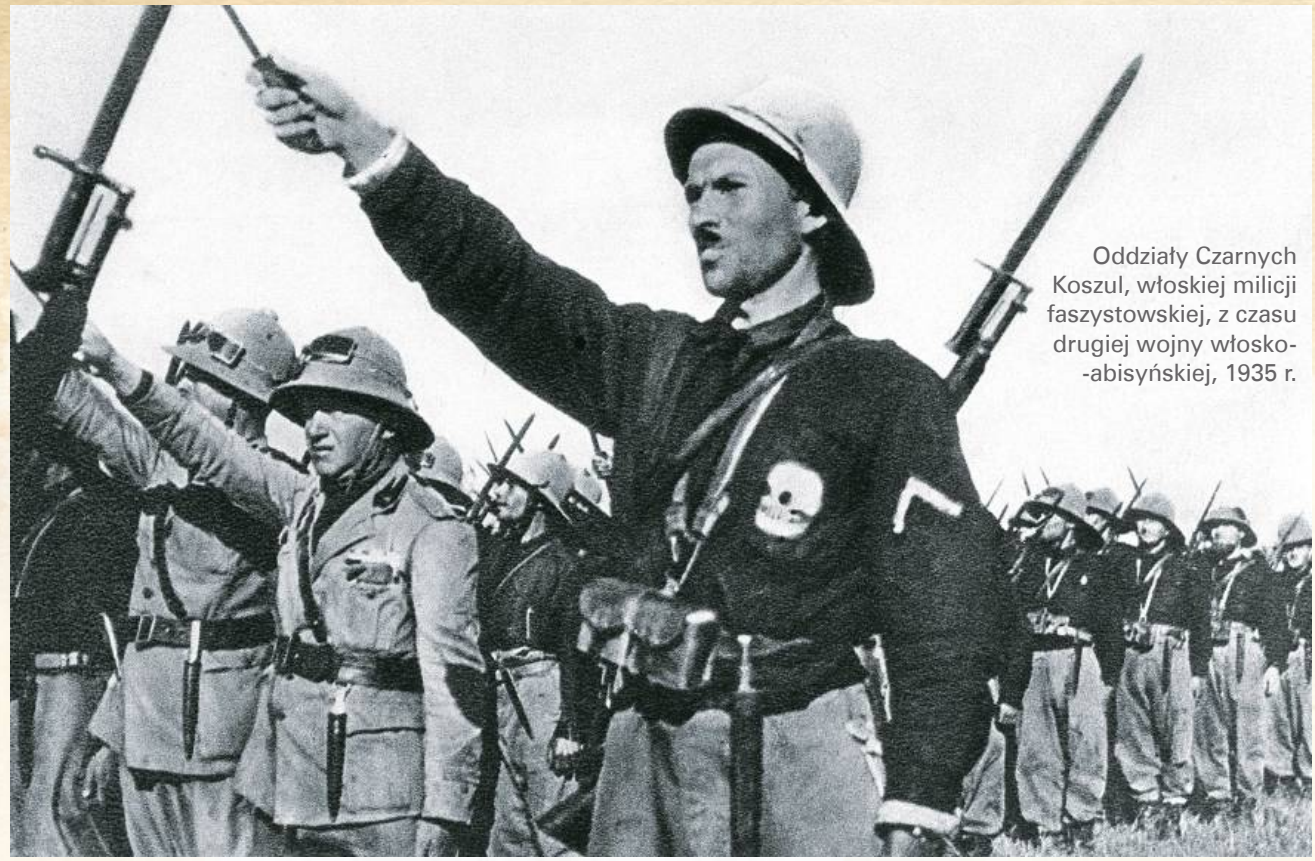

Oddziały Czarnych Koszul, włoskiej milicji faszystowskiej, z czasu drugiej wojny włosko-abisyńskiej, 1935 r.

etiopskich na konsulat włoski w Gonderze, dawnej stolicy Cesarstwa Etiopii. Natomiast 5 grudnia 1934 r. oddział wojska etiopskiego pilnujący bezpieczeństwa komisji granicznej natrafił w oazie Ueluel w prowincji Ogaden – 60 km od granicy Etiopii z Somali Włoskim (kolonią włoską w południowej części Półwyspu Somalijskiego, istniejącą w latach 1905-1936) – na oddział włoski liczący 60 żołnierzy, wspierany przez dwie tankietki CV 3/33. W większości byli to kolonialni żołnierze somalijscy, tzw. dubaci. Oddział włoski zaatakował znacznie liczniejszą jednostkę etiopską. W walce zginęło 110 żołnierzy etiopskich oraz 30-50 włoskich i somalijskich. Pozostali przy życiu żołnierze z włoskiego oddziału wycofali się w kierunku Somali Włoskiego.

Sympatia międzynarodowa była po stronie zaatakowanych Etiopczyków, ale propaganda Mussoliniego oskarżyła o atak stronę etiopską. Tak rozpoczął się tzw. kryzys abisyński. Prowokacje w Gonderze i Ueluel, które dostarczyły Mussoliniemu casus belli, przywołują skojarzenia z późniejszymi hitlerowskimi operacjami typu false flag, takimi jak prowokacja gliwicka i incydent w Venlo.

Podobnie postawa Wielkiej Brytanii i Francji wobec kryzysu abisyńskiego zdaje się zapowiedzią polityki appeasementu z lat 1938-1939, czyli strategii ustępstw tych mocarstw wobec Niemiec hitlerowskich w celu uniknięcia wojny. Oferta polityczna ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii (Samuela Hoare'a) i Francji (Pierre'a Lavala, późniejszego kolaboranta hitlerowskiego), którzy stworzyli własny plan rozwiązania kryzysu, przypomina zaś to, co trzy lata później, w czasie kryzysu sudeckiego, zaproponowali Czechosłowacji Neville Chamberlain i Édouard Daladier. Wedle planu Hoare'a-Lavala Etiopia miała oddać Włochom 40% swojego terytorium oraz dać im prawo do nieograniczonej ekspansji ekonomicznej na pozostałej jego części.

Ta propozycja oburzyła cesarza Hajle Syllasjego I. Została też odrzucona przez Mussoliniego, który dążył do rozpętania wojny za wszelką cenę. Gdy baron Pompeo Aloisi, szef gabinetu Mussoliniego, wybierał się na negocjacje z Lavalem i Hoare'em w sprawie włoskich praw do Etiopii, duce oświadczył: „Nawet jeśli mi przyznają wszystko, wolę pomścić Aduę". Jego propaganda przedstawiała agresję przeciw pokojowo żyjącemu narodowi jako rewanż za klęskę, którą Włochy poniosły, próbując podbić Etiopię pod koniec XIX w. Podczas tzw. pierwszej wojny włosko-abisyńskiej korpus ekspedycyjny pod dowództwem gen. Oreste Baratieriego został rozgromiony 1 marca 1896 r. pod Aduą przez cesarza Menelika II i rasa Mekonnyna (ojca cesarza Hajle Syllasjego I). Etiopia

Włoscy zbrodniarze wojenni – dzięki przychylności USA i Zachodu – po 1945 r. nie ponieśli odpowiedzialności za swoje czyny.

eprasa.pl 1217c1a75a

jako jedyne państwo w Afryce obroniła wtedy swoją niepodległość. W rewanżystowskiej narracji o tym, że trzeba „pomścić Aduę", również widać analogię z rewanżystowską propagandą Hitlera.

Zaślubiny z faszyzmem

2 października 1935 r. o godz. 19 Mussolini przemówił do tłumów z Pałacu Weneckiego w Rzymie: „Z Abisynią uzbroiliśmy się w cierpliwość na 40 lat. Teraz dosyć!". Następnego dnia 400-tysięczna armia włoska wyposażona w najnowocześniejsze samoloty, czołgi i artylerię, wspierana przez kolonialne wojska erytrejskie (askarysów) i somalijskie (dubatów), uderzyła z terenu włoskiej Erytrei i Somali Włoskiego na Etiopię. Tak rozpoczęła się druga wojna włosko-abisyńska. Naprzeciw wojsk Mussoliniego stanęła niemal średniowieczna armia etiopska. Mimo to podbój Etiopii zajął marszałkom Badogliowi, De Bono i Grazianiemu aż siedem miesięcy.

Liga Narodów, która kilka dni po rozpoczęciu inwazji uznała Włochy za agresora i wezwała do wprowadzenia wobec nich sankcji ekonomicznych, okazała się bezsilna. Mussolini wykorzystał sankcje nałożone na jego reżim do eskalacji emocji nacjonalistycznych. Pomogło mu to zintegrować rodaków w ramach swoistego ogólnonarodowego frontu przeciwko bojkotującym „osaczone Włochy" największym mocarstwom kolonialnym – Francji i Wielkiej Brytanii. Narodowej egzaltacji ulegli nawet niektórzy uchodźcy spośród emigracji antyfaszystowskiej.

Propaganda Mussoliniego głosiła: „Jest to wojna biednych, wojna wydziedziczonych, proletariuszy. Przeciwko nam stanął front konserwatyzmu, egoizmu i hipokryzji". Faszystowskiego dyktatora wsparł arcybiskup Mediolanu, kard. Alfred Ildefons Schuster (właśc. Alfredo Ludovico Schuster). Ten hierarcha katolicki pobłogosławił wojnę, „która za cenę krwi otwiera bramy Abisynii dla wiary katolickiej i cywilizacji rzymskiej". Jakoś pominął fakt, że na terytorium Etiopii już w IV w. istniało jedno z pierwszych państw chrześcijańskich na świecie i do dziś chrześcijanie obrządku koptyjskiego stanowią tam większość.

Podczas podboju Etiopii dowódcy i żołnierze włoscy dokonali wielu zbrodni wojennych. Ofiary wojny na ulicach Addis Abeby, 1936 r.

Umiejętnie kreowana histeria wojenna umożliwiła reżimowi Mussoliniego dokonanie czegoś w rodzaju narodowych zaślubin z faszyzmem. Setki tysięcy kobiet – w samym Rzymie prawie ćwierć miliona – ofiarowało złote obrączki na cele wojenne, otrzymując w zamian od państwa żelazne. Wojna napastnicza z Etiopią przyniosła ogromne zyski włoskim przemysłowcom. Eskalacja uczuć nacjonalistycznych pozwoliła reżimowi wprowadzić podwyżkę cen. W sfanatyzowanym kraju bez echa przeszły też procesy bojowników rozbitej w latach 1934-1935 tajnej organizacji antyfaszystowskiej Giustizia e Libertà (Sprawiedliwość i Wolność).

Polityka Mussoliniego opierała się na tych samych imperialnych urojeniach, co polityka Hitlera.

Faccetta nera

W wojnie wzięli udział synowie Mussoliniego i jego zięcia, hrabiego Ciano (wówczas ministra prasy i propagandy), zdobywając łatwe laury lotników walczących z krajem, który nie dysponował lotnictwem ani nowoczesną techniką wojskową. Na froncie etiopskim pojawiły się też liczne znakomitości ze świata nauki i kultury.

Włosi jednak szli na wojnę napastniczą z Etiopią pozbawieni poczucia wyższości białej rasy, które cechowało brytyjskich i francuskich kolonizatorów, a także fanatycznego rasizmu zhitleryzowanych Niemców. Przez wiele miesięcy przebojem na froncie i tyłach była piosenka „Faccetta nera" („Czarna twarzyczka"), którą wylansował Carlo Buti, nazywany włoskim Frankiem Sinatrą. Utwór opowiadał o powabnej dziewczynie etiopskiej, a żołnierzy włoskich przedstawiał jako jej wyzwolicieli. Refren piosenki obiecywał: „Czarna twarzyczko, piękna Abisynko, czekaj i miej nadzieję, czas już się zbliża! Gdy będziemy z tobą, damy ci inne prawo i innego króla". Czwarta zwrotka mówiła wprost: „Czarna twarzyczko, mała Abisynko, zabierzemy cię do Rzymu wyzwoloną. Będziesz całowana przez nasze słońce. Będziesz także w czarnej koszuli". W piątej zwrotce podkreślano, że „czarna twarzyczka" będzie rzymianką, jej jedyną flagą będzie ta włoska, a dziewczyna będzie maszerować

FOT. AKG/EAST NEWS (3)

eprasa.pl 1217c1a75a

Włoscy żołnierze brali bestialski odwet na etiopskich partyzantach, 1935 r.

z włoskimi faszystami przed duce i królem Wiktorem Emanuelem III.

Mussolini nie był zachwycony wydźwiękiem piosenki i zastanawiał się, czy nie zabronić jej śpiewania. Powstrzymał się, ponieważ „Faccetta nera" była tym elementem kultury masowej, który wpajał żołnierzom włoskim i społeczeństwu, że Włochy nie podbijają, ale „wyzwalają" Etiopię, niosąc jej mieszkańcom cywilizację i nowoczesność. Prawda była inna. Podczas podboju Etiopii dowódcy i żołnierze włoscy dokonali wielu zbrodni wojennych. Lotnictwo i artyleria równały z ziemią etiopskie miasta i wsie. Wkrótce zaś tego samego doświadczyli mieszkańcy Hiszpanii podczas wojny domowej, kiedy z pomocą militarną dla gen. Franco pośpieszyli Hitler i Mussolini. Doświadczyły też tego ofiary hitlerowskich agresji podczas II wojny światowej. Ponadto w celu przełamania bohaterskiego oporu wojsk etiopskich armia inwazyjna masowo stosowała gazy bojowe, głównie iperyt, za co odpowiedzialny był m.in. marszałek Pietro Badoglio.

Preludium wojny światowej

9 maja 1936 r. dyktator Włoch ogłosił z balkonu Pałacu Weneckiego dekret o nadaniu królowi Wiktorowi Emanuelowi III i jego następcom tytułu cesarza Abisynii. Badoglio za zdobycie stolicy Etiopii otrzymał tytuł księcia Addis Abeby oraz został mianowany pierwszym generalnym gubernatorem i wicekrólem Etiopii. Podbity kraj połączono z Erytreą i Somali Włoskim, tworząc Włoską Afrykę Wschodnią (Africa Orientale Italiana). Duce miał wreszcie swoje upragnione imperium afrykańskie. Wojna napastnicza Mussoliniego kosztowała życie 4350 żołnierzy włoskich oraz ok. 4,5 tys. wspierających ich żołnierzy tubylczych wojsk kolonialnych z Erytrei i Somali Włoskiego. Natomiast straty etiopskie wyniosły ok. 70 tys. poległych żołnierzy i co najmniej 120 tys. zabitych cywilów. Tak duża dysproporcja strat – wynikająca m.in. z użycia przez stronę włoską broni masowej zagłady – pokazuje dobitnie ludobójczy charakter tej wojny.

Druga wojna włosko-abisyńska była ostatnią europejską wojną kolonialną w Afryce i pierwszą agresją faszystowską. W tym sensie stanowiła preludium II wojny światowej, chociaż Mussolini w 1935 i 1936 r. nie planował jeszcze wojny europejskiej. Fakt, że potrafił stawić skuteczny opór sankcjom nałożonym przez Ligę Narodów i że wbrew dużej części elity faszystowskiej narzucił i wygrał wojnę z Etiopią, umocnił jego autorytet i pozycję polityczną nie tylko wśród faszystów, ale i całego społeczeństwa włoskiego. To spowodowało, że duce jeszcze bardziej uwierzył we własną nieomylność i szczęśliwą gwiazdę, zatracając – tak jak później Hitler – poczucie rzeczywistości.

Dlatego niemal natychmiast po zakończeniu walk w Etiopii dyktator Włoch zaangażował się od lipca 1936 r. po stronie rebelii gen. Franco przeciwko lewicowemu rządowi II Republiki Hiszpańskiej, wysyłając do Hiszpanii swoje wojska i uzbrojenie. W latach 1935-1936 świat mógł zobaczyć, jak wygląda agresja faszystowska i do czego zmierza faszyzm. Nikt nie wyciągnął z tego stosownych wniosków, zwłaszcza w Paryżu i Londynie, ale także w Warszawie. Sanacyjny rząd polski poparł sankcje nałożone przez Ligę Narodów na Włochy, jednak wobec wojny w Etiopii wykazał postawę powściągliwą. Polska dyplomacja miała na uwadze przede wszystkim utrzymanie dobrych stosunków z reżimem Mussoliniego. Żaden polski polityk nie przypuszczał wtedy, że ofiarą kolejnej zbrojnej agresji faszystowskiej – dokonanej tym razem przez Niemcy – stanie się za trzy lata Polska. Chociaż opinia publiczna w Europie była w większości po stronie napadniętej Etiopii, do jej świadomości i świadomości elit politycznych Zachodu nie dotarło, że natychmiast trzeba powstrzymać faszyzm we Włoszech i w Niemczech.

Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej cały świat mógł zobaczyć także, jak wygląda okupacja faszystowska. Włoska okupacja Etiopii w latach 1936-1941 pochłonęła ok. 600 tys. ofiar. Cechowała ją brutalność znana z późniejszej polityki okupacyjnej Niemiec w Polsce, Jugosławii i na okupowanych terenach ZSRR. W odwecie za opór partyzantki etiopskiej bestialsko masakrowano ludność cywilną, również przy użyciu gazów bojowych.

Oriana Fallaci: W 1935 r. my też mieliśmy swój Wietnam. Nazywał się Etiopia.

Po nieudanym zamachu z 19 lutego 1937 r. na drugiego generalnego gubernatora i wicekróla Rodolfa Grazianiego włoscy faszyści zmasakrowali ludność Addis Abeby, mordując prawie 30 tys. Etiopczyków, w tym niemal całą nieliczną inteligencję. Około 35 tys. ludzi zginęło w utworzonych przez okupanta obozach koncentracyjnych, 24 tys. stracono po wyrokach sądów doraźnych, a 300 tys. zmarło w wyniku zniszczenia ich wiosek. Z tego też nie wyciągnięto wtedy żadnego wniosku. Prawdopodobnie dlatego, że los afrykańskiego kraju mało interesował europejskie elity.

Bohdan Piętka

eprasa.pl 1217c1a75a

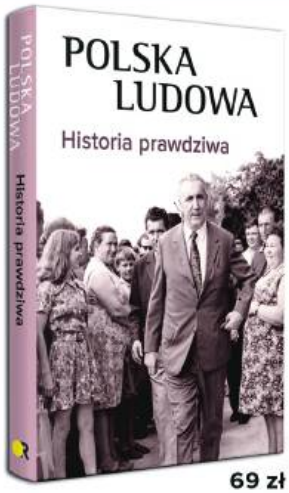

69 zł

PRÓBA SPRAWIEDLIWEJ OCENY

59 zł

TEKSTY KLASYKA WSPÓŁCZESNEGO FELIETONU

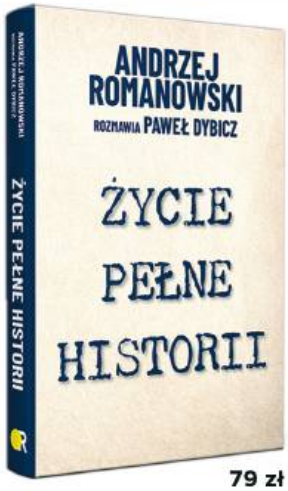

79 zł

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI W PASJONUJĄCEJ ROZMOWIE Z PAWŁEM DYBICZEM

95 zł

OSOBISTA RELACJA Z OSTATNICH DEKAD NASZEJ HISTORII. KSIĄŻKA, KTÓRA POMAGA JE ZROZUMIEĆ

KSIĄŻKA LESZKA KONARSKIEGO, JEDNA Z 15 FINALISTEK GRAND PRESS KSIĄŻKA REPORTERSKA 2020

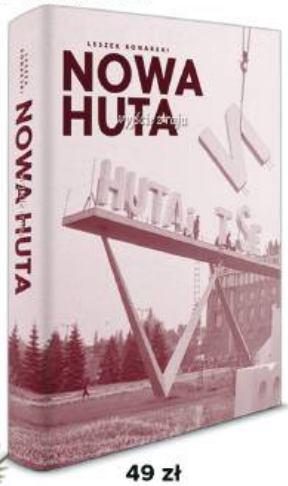

49 zł

Tom I 78 zł

Tom II 79 zł

Pakiet 140 zł

PROF. ANDRZEJ WERBLAN, HISTORYK DZIEJÓW NAJNOWSZYCH

2 + 1 GRATIS

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Zakłamana historia powstania" t. IV W PREZENCIE

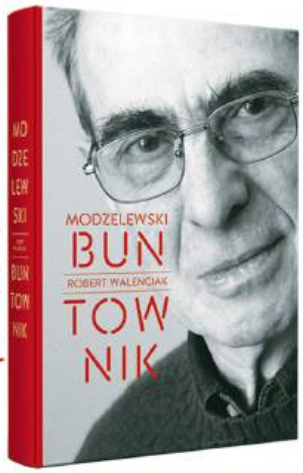

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY NIE ZDRADZIŁ SOLIDARNOŚCI

55 zł
~~65 zł~~

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej, Orlen Paczka, do paczkomatu InPost lub dostawy kurierem InPost.

Gwarancją dostawy przed świętami jest wybór przesyłki kurierskiej (z podaniem numeru telefonu i adresu e-mail), złożenie i opłacenie zamówienia do 17 grudnia!

Przegląd

eprasa.pl 1217c1a75a

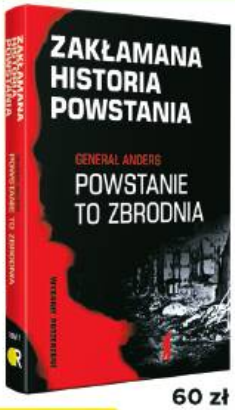

60 zł

70 zł

Pakiet 110 zł

200 TYSIĘCY OFIAR I RUINY MIASTA UPOMINAJĄ SIĘ O PRAWDĘ

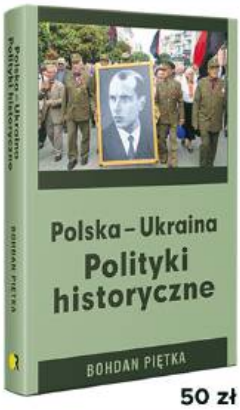

50 zł

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA. POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

58 zł

BŁYSKOTLIWA ANALIZA „AMERYKAŃSKIEJ DUSZY" I POLITYCZNYCH WYBORÓW

Pakiet 190 zł

LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA KAŻDEGO INTELIGENTA

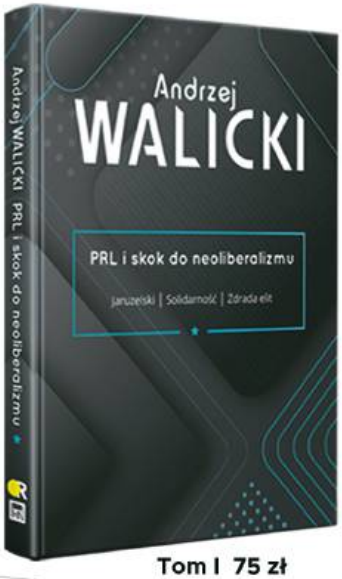

Tom I 75 zł

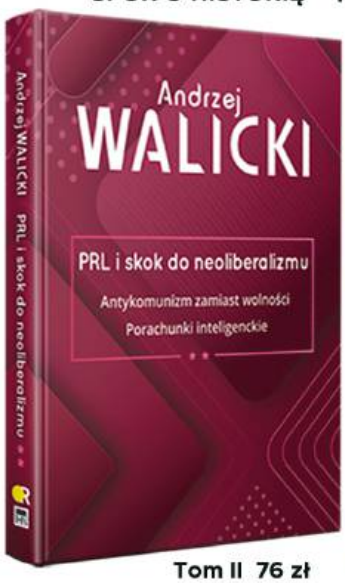

Tom II 76 zł

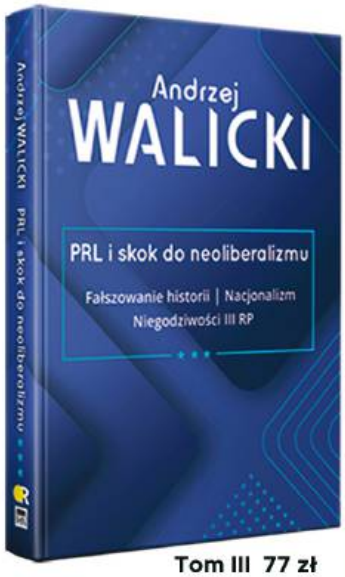

Tom III 77 zł

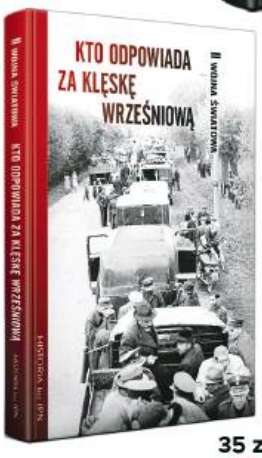

35 zł
~~45 zł~~

DOKUMENTY Z KRAJU I EMIGRACJI OBNAŻAJĄ NIEUDOLNOŚĆ RZĄDÓW SANACYJNEJ ELITY

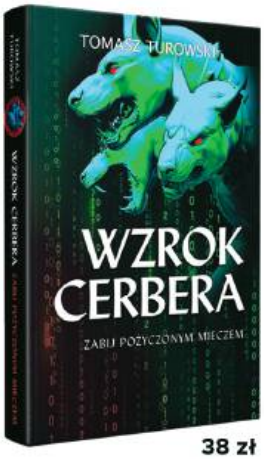

38 zł

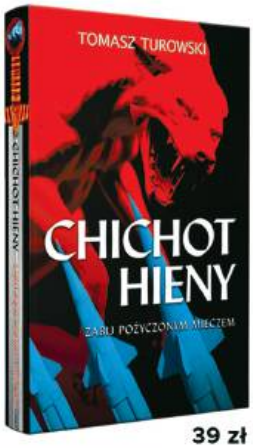

39 zł

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM – SERIA POWIEŚCI SENSACYJNYCH TOMASZA TUROWSKIEGO

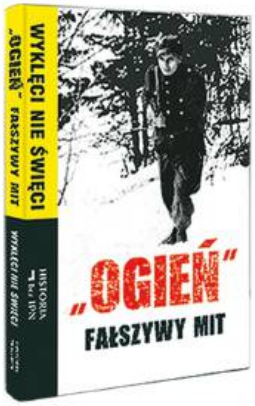

38 zł
~~46 zł~~

„ŻOŁNIERZE WYKLĘCI" SĄ NAJWAŻNIEJSZYM ELEMENTEM OFICJALNEJ POLITYKI HISTORYCZNEJ

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej, Orlen Paczka, do paczkomatu InPost lub dostawy kurierem InPost.

Gwarancją dostawy przed świętami jest wybór przesyłki kurierskiej (z podaniem numeru telefonu i adresu e-mail), złożenie i opłacenie zamówienia do 17 grudnia!

eprasa.pl 1217c1a75a

Szpont zamiast 6-7

Młodzieżowe Słowo Roku coraz mniej mówi o młodzieży, a coraz więcej o dorosłych

Weronika Mikusek

„6-7”, mówią, wykonując charakterystyczny ruch dłońmi. Rozmawiam z grupkami młodzieży w wieku szkolnym podczas gali finałowej plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku i pytam, jakich słów slangu najczęściej używają, rozmawiając ze sobą. Te dwie cyfry padają z ust niemal wszystkich. Rzadziej pojawia się „get out”(używane, gdy nie możemy w coś uwierzyć) i „schizować”(stresować się). To ostatnie słyszę też w kolejce do szatni, gdy jeden z chłopaków martwi się o zgubioną kurtkę, a koledzy radzą mu, żeby „przestał schizować”.

Sam fakt, że musiałam pytać uczniów szkół o modne ich zdaniem słowa, wywołał poczucie, że już do młodzieży nie należę. A przecież jeszcze chwilę temu sama chodziłam do szkoły. Tylko że wówczas w modzie były słowa typu „beka”, „żal” i „pozdro600”. W latach 80. pokolenie moich rodziców też miało swój slang, niegdyś świeży, dziś anachroniczny: „odlotowo”, „prywatkę”, „w pytę”. I specjalnie nie tłumaczę tutaj znaczeń tych wyrazów. Taki kod komunikacyjny ma za zadanie odróżniać „swoich” od „obcych”.

Gala plebiscytu na pierwszy rzut oka wygląda na coroczne święto języka młodych. Nowoczesny klimat: didżeje i konferansjerzy w kosmicznych strojach, głośna muzyka elektroniczna oraz instalacje prezentujące nominowane słowa.

– To dowód, jak bardzo ten projekt urósł, jak silnie zakorzenił się w świadomości odbiorców i jak ważny jest głos młodego pokolenia w rozmowie o współczesnej polszczyźnie – mówi Natalia Wojciechowska, prezeska grupy PWN, organizatora plebiscytu. I dodaje: – Ten plebiscyt szczególnie pokazuje, jak pięknie można łączyć doświadczenia ekspertów i twórczą kreatywność młodych ludzi.

Zgadzam się z Natalią Wojciechowską, jednocześnie ze zdziwieniem obserwuję, jak skomercjalizowane zostało to wydarzenie. W przestrzeni Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie dysonans między ideą a realizacją powodują stoiska sponsorów, obecność dorosłych influencerów oraz znaczna liczba dziennikarzy. To skłania do zastanowienia się, czy ten rodzaj językowej ekskluzywności, bycia nie dla wszystkich, nie został przez przypadek wystawiony na sprzedaż.

Jak się masz, ferajno?

Kiedyś tajemny kod młodzieży naprawdę był tajemny. Żadne dziecko

eprasa.pl 1217c1a75a

nie myślało, że musi tłumaczyć go rodzicom, a żaden rodzic nie zapraszał pozostałych, żeby wspólnie starać się go rozszyfrować. Slang ma być naturalny, ulotny i przede wszystkim nienazwany, bo taka jest jego funkcja. Ma odróżniać, a nie jednoczyć.

Tymczasem dziś, gdy tylko poznamy zwycięskie słowo plebiscytu, rusza machina interpretacji, wyjaśnień, analiz etymologicznych i komentarzy ekspertów od komunikacji. Portale informacyjne tłumaczą znaczenie seniorom, a telewizje śniadaniowe zapraszają w tym celu młodych celebrytów.

Chwilę później agencje reklamowe prześcigają się w „real-time marketingu", polegającym na tworzeniu jak najaktualniejszych reklam z użyciem zwycięskiego słowa. Problem w tym, że ta pogoń za młodymi kończy się zwykle groteską. Przypomina wysiłki starszego bohatera granego przez Steve'a Buscemiego w serialu „30 Rock", próbującego wmieszać się z deskorolką w grupę licealistów: „How do you do, fellow kids?" (Jak się masz, ferajno?).

Trudno więc oprzeć się wrażeniu, że Młodzieżowe Słowo Roku coraz mniej mówi o młodzieży, a coraz więcej o dorosłych. Tym bardziej że głosować mogą na nie wszyscy, niezależnie od wieku. W rezultacie wygrywają słowa łatwe do przyswojenia i interpretacji. Takie jak „szponcić" (kombinować, cwaniaczyć), a nie „6-7" będące sensacją na skalę globalną wśród nastolatków i nieoznaczające nic konkretnego. Tego rodzaju słowo jest trudne do sklasyfikowania, dlatego dorośli nie zagłosują na nie. W efekcie plebiscyt przestaje odzwierciedlać język młodych, a zaczyna być konkursem na słowo, które dorośli są w stanie zaakceptować.

Najbardziej symbolicznym pod tym względem momentem gali było ogłoszenie wyniku przez Karola Strasburgera. Aktor i prowadzący teleturniej „Familiada" zapytał zgromadzonych na widowni, jakie słowo oni typują. Zaskoczony przyznał, że prawie nikt nie odgadł zwycięzcy.

Sama obecność Strasburgera na gali MSR również mogłaby zostać uznana za przejaw różnicy międzypokoleniowej. Swoje przemówienie rozpoczął od wspomnień z pracy wśród takich artystów jak Gustaw Holoubek i Andrzej Łapicki. Bardzo młodzieżowo… Dziewczyna stojąca obok mnie na pytanie koleżanki o to, kim jest ten pan na scenie, odpowiedziała: „Nie mam zielonego pojęcia".

Kod niezależności

Język młodzieży wymyka się próbom instytucjonalizacji, bo jego podstawową funkcją jest odróżnienie, a nie jak w przypadku języka ogólnego komunikowanie uniwersalne. Podobne wnioski ma polonista i redaktor Maciej Makselon, który na swoim profilu w mediach społecznościowych napisał: „Kod młodzieżowy to kod niezależności (od dorosłych). Funkcja odróżniająca jest jedną z najważniejszych cech kodu młodzieżowego". Trudno o celniejsze podsumowanie. Gdy dorośli zaczynają używać podsłuchanego slangu, oznacza to, że dla młodzieży słowa te są już niemodne. A kiedy instytucje językowe zaczynają je katalogować, stają się one częścią oficjalnej polszczyzny.

Makselon zauważył jeszcze jeden problem: „Otóż istnieje takie zjawisko jak »newsjacking«. Polega ono na tym, że jakaś marka KRADNIE newsy, by przekazać je przed mediami tradycyjnymi, w celu wygenerowania ruchu. My w ramach plebiscytowej zabawy uprawiamy »wordjacking«". W praktyce oznacza to, że słowo, które dopiero zaczyna funkcjonować w środowisku młodzieży, zostaje natychmiast wyrwane z naturalnego kontekstu i pokazane szerokiej publiczności. Trafia do obiegu wśród dorosłych szybciej, przez co przestaje pełnić pierwotną funkcję. Przestaje być już narzędziem kodu kulturowego.

Patrząc na galę i dyskusje o „szponceniu", ma się wrażenie, że coś w tej formule zaczęło zgrzytać. Coraz wyraźniej widać, że im bardziej dorośli próbują uchwycić język młodych, tym bardziej on im się wymyka. Zamiast wspierać naturalną kreatywność nastolatków, wydarzenie zaczyna ją mimowolnie katalizować i definiować. Może to moment, by znów pozwolić młodzieży mówić własnym językiem, bez dorosłych chcących brzmieć bardziej młodzieżowo, bez plebiscytów i patronów medialnych. Bo jeśli kod młodzieżowy ma przetrwać, musi pozostać młodzieżowy. Nieoswojony, nieprzejęty i nieprzetworzony. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1217c1a75a

AWANSE NA OPARACH

Kluby zwalniają tempo, Legia na dnie

Wojciech Kuczok

Z końcem jesieni polskie kluby tradycyjnie zwalniają tempo w Europie. Nie wiedzieć czemu gra na dwóch frontach, ergo rozgrywanie meczów co trzy dni jest dla piłkarzy zarabiających w Polsce przykrością, do której nijak się przyzwyczaić nie mogą. Rodzimi gracze wychowali się w lidze, która o Europę zaczęła się ocierać dopiero po wynalezieniu Ligi Konferencji, w większości zatem przywykli do tego, że gra się w weekendy, a w tygodniu trenuje. Obcokrajowcy też jakby skuszeni najmniej wymagającą z przyzwoicie płacących lig nie są przekonani do takiej harówki. Ma być syto i leniwie, a tu trzeba biegać do samych świąt za punktami. W ubiegłym roku Jagiellonia i Legia dojechały do play-offów na oparach; w bieżącym Legia już nigdzie nie dojedzie, a Jagiellonia też ledwie awansuje do jednej szesnastej dzięki punktom uciułanym jesienią na słabeuszach. W konfrontacji z przeciętnym klubem La Liga drużyna z Białegostoku nie była faworytem, albowiem hiszpańska przeciętność w przekładzie na polski oznacza wybitność.

Taki Jesús Imaz, który wciąga nosem całą Ekstraklasę od kilkunastu lat, piłkarz w Białymstoku już pomnikowy, przed przyjazdem do Polski tułał się po niższych ligach w swojej ojczyźnie, a w dzisiejszym Rayo Vallecano nie zmieściłby się nawet w szerokich rezerwach. Piłkarze z Villa de Vallecas nie zamierzali mieć litości dla gospodarzy, zwłaszcza że ich kibice zostali tradycyjnie powitani przez białą polską siłę – czerstwym chlebem w ryj i solą w oczy. W ramach szlachetnych form męskiej rywalizacji (Karol Nawrocki lubi) chłopcy z Podlasia zasadzili się na ekspresówce na autokary, wtargnęli do środka, powybijali zęby dziewięciu fanom z Hiszpanii, trzech wysłali do szpitala, po czym w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku patriotycznego (Rayo to czerwona hołota z robolskich przedmieść Madrytu, więc należy ich raz sierpem, raz młotem etc.) rozjechali się sprawnie po swoich dumnych kątach.

Na boisku sprawy miały się bliźniaczo do meczu, w którym ostatnio oberwał od Czerwonych Szarf Lech Poznań – polska ekipa trzymała się w miarę dzielnie przez godzinę, dopóki trener Hiszpanów nie zrobił potrójnej zmiany, wprowadzając swój podstawowy tercet ofensywny.

O ile jednak Lech rozsypał się dopiero w doliczonym czasie i zaiste zdążył obwąchać punkty, o tyle Jagiellonia straciła gola decydującego o porażce natychmiast po trenerskiej korekcie. Wprowadzony koło 60. minuty Urugwajczyk Alfonso „Pacha" Espino zobaczył frajerskie ustawienie w bramce młodego Abramowicza i w pierwszym kontakcie z piłką uderzył z daleka z ostrego kąta do siatki. Początek meczu też zresztą należał do gości: zdobyli bramkę po szkolnym niedopatrzeniu defensorów Jagi, a potem raz za razem obijali słupki.

Białostocka ekipa jest ewidentnie zmęczona rundą, w zeszłym tygodniu przegrała nawet w Niecieczy i w Katowicach, toteż licho prezentowała się na tle solidnego rywala z najlepszej technicznie ligi świata. W końcówce pierwszej odsłony Hiszpanie pozwolili się przycisnąć i za sprawą przytomności Imaza Jaga wyrównała, może nawet w przekroju całego spotkania zasłużyła na polubowne rozstrzygnięcie, lecz raczej z uwagi na wolę walki niż na walory piłkarskie. Jednakowoż trener Siemieniec na pomeczowej konferencji odleciał w stratosferę, stwierdzając, że „przegrała drużyna zdecydowanie lepsza".

Dramatycznie słaby był Dawid Drachal, na szczęście zmieniony już w przerwie przez nastoletniego Bartosza Mazurka, który od razu się zameldował celną bombą z daleka, wybronioną nie bez trudu przez bramkarza gości. Oskar Pietuszewski na tle silnych rywali nie pokazuje walorów, za które w kraju jest tak przechwalany, że już mu się marzy bezpośredni transfer do Barcelony. Coś tam próbuje dryblować, wchodzić w pole karne, ale wykłada się na drugim obrońcy, a jego strzały są blokowane. Przy cudownych nastolatkach światowej piłki, takich jak Lennart Karl, Estêvão czy choćby Yamal, ten nasz gwiazdor wygląda jak chłopiec do podawania piłek. Jan Urban wiedział, co robi, nie poddając się presji publicznej i nie zabierając młodziaka kadrze U-21 Jerzego Brzęczka. Jaga teraz wyjeżdża do piekielnie silnego Alkmaar i pewnie dostanie baty, bo i tak nie ma już szans ani na bezpośredni awans do jednej ósmej, ani na wypadnięcie z gry.

Legia w czwartek zamknie koszmarną jesień przy Łazienkowskiej, podejmując mistrzów Gibraltaru. To mecz pułapka, bo nawet dwucyfrowe zwycięstwo niczego nie da ani też nie złagodzi wściekłości fanów, którzy w najlepszym razie po prostu zbojkotują zawody. O bezprecedensowej katastrofie warszawskiej napiszę osobne studium, tymczasem

To już nie jest Legia, to elegia o klubie, który upadł niżej niż kiedykolwiek, choć wydano na ten upadek największe pieniądze w historii.

eprasa.pl 1217c1a75a

Hiszpański białostoczanin i włosko-brazylijski madrytczyk, czyli Jesús Imaz i Luiz Felipe w meczu Jagiellonii z Rayo Vallecano. Białystok, 11 grudnia 2025 r.

niech wystarczą suche, przygnębiające i mimo wszystko szokujące fakty: w czwartek w Erewanie Legia wyrównała historyczny klubowy rekord dziesięciu z rzędu meczów bez zwycięstwa. Przegrała z drużyną Noah, sklasyfikowaną pod koniec trzeciej setki rankingu klubów europejskich, której szacowana wartość jest trzykrotnie niższa od drużyny z Łazienkowskiej.

Gdyby sam fakt porażki z klubem armeńskim nie był dość upokarzający, można się przyjrzeć statystykom: Ormianie mieli miażdżącą przewagę, Legia po strzeleniu kuriozalnego gola (nieporozumienie obrońcy i bramkarza, Rajović strzelił do pustaka) wyłącznie się broniła, w efekcie gospodarze oddali na bramkę Kacpra Tobiasza 17 strzałów. Posiadanie piłki: 62% do 28% dla Ormian.

To już nie jest Legia, to elegia o klubie, który upadł niżej niż kiedykolwiek, choć wydano na ten upadek największe pieniądze w historii. Warszawa żegna się z Europą na co najmniej półtora roku. Po świętach drużynę przejmie w końcu Marek Papszun z niełatwym wcale zadaniem utrzymania Wojskowych w Ekstraklasie. Zanim do tego dojdzie, znając zapalczywość i ambicje harcowników z Żylety, spodziewałbym się spektakularnej demonstracji wrogości wobec drużyny i jej właściciela. A jeśli Dariusz Mioduski w końcu będzie miał dosyć obelg i posłucha rad tłumu, aby porzucić klub i zająć się mniej stresującym biznesem, Legia może mieć kłopoty niewyobrażalnie wprost większe, niźli to sobie są w stanie wyobrazić jej fanatycy.

Marek Papszun swoją robotę w Częstochowie wykonał celująco – zostawia następcy drużynę zameldowaną w kolejnej fazie europejskich pucharów, w ćwierćfinale Pucharu Polski i u szczytu tabel Ekstraklasy. W czwartek Raków co prawda wymęczył wygraną w swoim stylu, jednobramkowo i nieefektownie, ale na drużynę bośniackich Chorwatów z Mostaru fajerwerków nie trzeba było odpalać. Raków akurat ma prawo odczuwać zmęczenie rundą, w której rozegrał 30 spotkań bez fuszerki w ciągu pięciu miesięcy.

Następcą Papszuna w Rakowie ma zostać Łukasz Tomczyk, za którego sprawą na miejscu premiowanym awansem do Ekstraklasy sensacyjnie spędzi zimę Polonia Bytom, beniaminek pierwszej ligi. Tomczyk to urodzony częstochowianin, swoje pierwsze trenerskie kroki stawiał w Akademii Rakowa, wybór właściciela klubu jest więc logiczny i z pochopnością nie ma nic wspólnego. Zadaniem Tomczyka będzie nie zepsuć tego, co zastanie – dowieźć Raków jak najdalej w walce o trzy trofea.

Lech Poznań gościł w czwartek ekipę z Moguncji, która tradycyjnie po udanym sezonie przeżywa kryzys. Na Bułgarskiej debiutował nowy trener Mainz, Urs Fischer, który pamiętał Kolejorza jeszcze z czasów prowadzenia FC Basel. Ze Szwajcarami pokonał Lecha czterokrotnie, w Poznaniu też był bliski pełnej puli przynajmniej do chwili, w której Mainz musiało dograć mecz w dziesiątkę.

Efekt nowej miotły był widoczny aż nadto – nim się Lechici dobrze rozgrzali, przegrywali już dwoma golami, na szczęście ten drugi został anulowany przez VAR, co napędziło im wiatru w skrzydła. Wystarczyło na wyrównanie (cudowny gol z karnego „Panenką" w wykonaniu niezawodnego Ishaka), ale do pokonania najsłabszej drużyny Bundesligi zabrakło szczęścia i dokładności.

Taka jest nasza pozycja w Europie – wśród średniaków zdarza nam się brylować, ale w konfrontacji z ekipami z dolnych rejonów tabeli którejś ligi europejskiego Top 5 jesteśmy bladziutcy. Tak czy owak, Lechowi do pewnego awansu brakuje punktu, o który powalczy w czwartek w Ołomuńcu. Nie jest to zadanie z tych niewykonalnych. Czesi nawet przeciw zmęczonemu Lechowi nie zagrają w roli faworytów.

Wygląda więc na to, że Raków poczeka na swoich rywali w jednej ósmej do marca, a dwie nasze ekipy będą walczyć o promocję już w lutym. Co więcej, nie jest wykluczone, że trafią na… siebie. ■

Piłkarze z Villa de Vallecas nie zamierzali mieć litości dla gospodarzy, zwłaszcza że ich kibice zostali tradycyjnie powitani przez białą polską siłę.

FOT. MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

eprasa.pl 1217c1a75a

Życie za srebro

Warunki życia i pracy górników z Potosí niewiele się poprawiły od setek lat

Rozmawia Wojciech Tutaj

Jak znaleźliście się w Ameryce Południowej, a konkretnie w Boliwii?

– W 2020 r., tuż przed pandemią, polecieliśmy z moim partnerem i operatorem Stanisławem Cuske na realizację dokumentalną do Argentyny. Gdy wylądowaliśmy w Chile, zamknięto wszystkie granice, na dwa lata. Przez półtora roku jeździliśmy rowerami po Andach, mieszkaliśmy w namiocie. Widzieliśmy wiele zjawiskowych miejsc, ale gdy dotarliśmy w okolice Potosí, coś się zatrzymało. To miejsce wzbudziło we mnie wiele pytań i potrzebowałam bardzo dużo czasu, żeby znaleźć odpowiedzi i nauczyć się z nimi żyć.

W jakich okolicznościach pierwszy raz weszliście do kopalni srebra w Cerro Rico?

– W Potosí pracowały kiedyś organizacje charytatywne. Obecnie praktycznie ich nie ma, poza jedną, która finansuje szkołę. Mieszka tam jednak kobieta, która poświęciła życie wspieraniu dzieci i wdów. Bardzo dobrze znała wszystkie miejsca i historie dzieci, które pokazaliśmy w filmie. Znalazłam ją na Facebooku, gdy szukałam informacji o Potosí. Pomogła nam, dając klucze do opuszczonej szkoły na wysokości 4500 m n.p.m.; powiedziała, że możemy tam zamieszkać. Budynek znajdował się naprzeciwko jednej z największych kopalń srebra.

Powoli uczyliśmy się funkcjonować w wysokogórskich warunkach. Mogliśmy korzystać z darmowego noclegu i szukać odpowiedzi na nurtujące nas pytania. Przyjechaliśmy wyczerpani po miesiącach życia w namiocie, jeżdżenia po Andach i w tym dziwnym momencie na świecie, kiedy wszystko się zamknęło. W Boliwii i sąsiednich krajach nikt nie mógł wychodzić z domu, restrykcje były gorsze niż w Europie. Chyba przez wzgląd na te okoliczności mieszkańcy łatwiej podjęli decyzję o ugoszczeniu nas.

Pewnie mieliście sporo wątpliwości, przystępując do realizacji dokumentu „Silver".

– Mierzyliśmy się z licznymi wątpliwościami, ale byłam ich świadoma, bo odkąd fascynuję się kinem dokumentalnym, etyka jest dla mnie kluczowa. Teraz piszę doktorat na temat granic między rzeczywistym obrazem jakiegoś świata a inwencją artystyczną i interpretacją

NATALIA KONIARZ
– reżyserka filmów dokumentalnych

Natalia Koniarz – (ur. w 1996 r.) absolwentka Szkoły Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego przy Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, na której prowadzi wykłady i pisze doktorat. Jej etiuda dokumentalna „Tama" zdobyła nagrody w Koszalinie, Wrocławiu i Krakowie. „Pocztówki znad krawędzi" były wyróżniane na wielu międzynarodowych festiwalach. Za „Silver" otrzymała m.in. Srebrny Róg i Nagrodę FIPRESCI na Krakowskim Festiwalu Filmowym oraz nagrody dla najlepszego filmu dokumentalnego w konkursie Opus Bonum i najlepszego filmu dokumentalnego Europy Środkowej na festiwalu Ji.hlava.

eprasa.pl 1217c1a75a

– Potosí stało się dla mnie laboratorium do badania tych kwestii. Szczególnie że to miejsce zostało tak przemocowo potraktowane. Według różnych szacunków w kopalniach srebra w regionie w ciągu kilkuset lat zginęło 8 mln ludzi. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego i w jakiej formie ja, Europejka, mam opowiadać o miejscu, które silnie naznaczył kolonializm. Europejskie imperia wpłynęły na fakt, że warunki życia i pracy górników z Potosí niewiele się poprawiły od 500 lat. To jeden z powodów, dla których nie pojawiam się na ekranie, nie ma mojego głosu ani perspektywy.

Szukałaś więc odpowiedniego punktu widzenia.

– Długo trwało, nim właściwie odczytałam tamten świat. Ciągle popełniałam błędy – zakładałam, że rozumiem motywacje bohaterów, ich sposób myślenia o czasie, przyszłości, rodzinie. Nie chodziło tylko o język czy kulturę, raczej o fundamentalnie inne doświadczenie rzeczywistości. W pracy z kamerą i przy montażu poświęciliśmy mnóstwo czasu na znalezienie odpowiedniego punktu widzenia. Chodziło przede wszystkim o nienarzucanie europocentrycznego spojrzenia oraz o próbę mówienia językiem mieszkańców Potosí. Dlatego „Silver" ma taką strukturę, a niektóre znaczenia nie są łatwo zrozumiałe i nie zostają wytłumaczone. Pewne rzeczy można podskórnie wyczuć. Prezentowaliśmy film krytykom i badaczom z Ameryki Południowej, żeby sprawdzić, czy osiągnęliśmy zamierzony efekt. Prosiliśmy o chłodną, brutalną ocenę, ale poszło nam dobrze. Zajęło to jednak lata.

Łatwo było zbliżyć się do bohaterów i podążać za nimi w pracy?

– Stopniowo wchodziliśmy w miejsca, gdzie pracują górnicy. Myślę, że nabierali do nas szacunku dlatego, że podążaliśmy za nimi wszędzie z pełnym zaufaniem, bez zadawania pytań. Oprócz tego spędzaliśmy razem mnóstwo czasu, żując liście koki, siedząc wspólnie przed pracą i po pracy. Ostatecznie nas zaakceptowali, bo byliśmy obok nich w trudnych momentach. Większość osób tylko przyjeżdża i wyjeżdża, a my siedzieliśmy w Potosí miesiącami i nawiązaliśmy tam przyjaźnie.

Z dziećmi było inaczej?

– Z dziećmi było trudniej. Ich historie były już wcześniej wykorzystywane – dziennikarze przyjeżdżali po sensacyjny materiał, organizacje charytatywne obiecywały pomoc i znikały. Dzieci bały się nam zaufać, a ja chciałam to zmienić. Pochodzę z wielodzietnej rodziny i lubię przebywać z dziećmi. Szybko udało mi się nawiązać z nimi kontakt, ale zdobycie głębszego zaufania trwało tygodniami. Chłopiec, którego śledzimy w filmie, przestał mówić na dwa lata. W jednej scenie otwiera się i słyszymy jego rozmowę z bratem. To był wyjątkowy moment. Cały proces wymagał od nas empatii i bycia z bohaterami w codziennych sytuacjach. Niektóre dzieci prosiły nas, żebyśmy u nich dłużej zostali, zwłaszcza wieczorem – to dla nich najtrudniejszy czas. Nie mieliśmy złudzeń, że je ochronimy, ale nasza obecność chyba dawała im poczucie, że ktoś o nie dba.

Wybrałaś tryb obserwacyjny. Prawie nie słyszymy wypowiedzi górników, a ich nazwiska pojawiają się dopiero w napisach końcowych.

– Chciałam przyjąć punkt widzenia mieszkańców, a oni nie muszą sobie tłumaczyć najbliższej rzeczywistości, bo ją znają. Jeśli zaczynam zadawać pytania, od razu staje się jasne, że pochodzę z zewnątrz – i oni układają odpowiedzi tak, żebym coś zrozumiała. Film nie koncentruje się na wyjaśnianiu, informacje o kopalniach srebra są ogólnodostępne. Można przeczytać książkę „Potosí. Góra, która zjada ludzi" Andera Izagirrego, znaleźć dane o przemocy i historii wyzysku. Nam zależało na przeniesieniu doświadczenia, na zbudowaniu wrażenia współodczuwania rzeczywistości, a nie na jej objaśnianiu.

Przeprowadziliśmy też wywiady z każdym z bohaterów, ale służyły nam do tego, by lepiej ich poznać, zrozumieć ich świat. Nie były materiałem do filmu. Widzowie mogą mieć trudności z rozpoznaniem poszczególnych osób, choć pierwsza twarz pojawiająca się na ekranie to górnik, za którym podążamy przez cały film. Wielu pracowników, których śledziliśmy, już nie żyje. Podaliśmy ich nazwiska w napisach końcowych, aby ich upamiętnić.

Jak opracowaliście wizualną koncepcję filmu? Dostrzegliście piękno w podziemnym świecie?

– Świat podziemny potrafi być magiczny i piękny, zwłaszcza kiedy przestajemy się go bać. Ma swoją logikę i estetykę – kamienie błyszczą na niebiesko, zielono i żółto-czerwono. Dźwięki brzmią inaczej, powietrze ma inny ciężar. Fascynowała mnie szczególnie warstwa duchowa – górnicy się tam modlą i rozmawiają ze zmarłymi. Zależało mi na odwzorowaniu ich wiary. Wierzą w boga diabła (El Tío), któremu muszą podziękować i poprosić o zebranie srebra, bo kruszec jest traktowany jak krew płynąca w jego żyłach. Wiele osób opowiada o fizycznym spotkaniu z nim, więc świat duchowy przenika się z materialnym. Chciałam oddać perspektywę boga diabła i tak powstały długie ujęcia tuneli.

Świat podziemny potrafi być magiczny i piękny, zwłaszcza kiedy przestajemy się go bać.

Kręcenie filmu musiało być bardzo fizycznym doświadczeniem.

– Było bardzo fizyczne i duchowe, bo nigdy nie widziałam śmierci w tak bezpośredniej i brutalnej formie. Doświadczałam tam rzeczy, które trochę przybliżały mnie do religii albo pewnej duchowości. Każdego dnia, czasami dwa-trzy razy, wychodziliśmy z miasta na zbocza Cerro Rico i schodziliśmy pod ziemię. W kopalniach bywa 55 st. C. Wyglądaliśmy jak po kąpieli błotnej. Kamerę też zalewało błoto. Słyszeliśmy własne oddechy, syczeliśmy, jakbyśmy mieli chore płuca. Z czasem uświadamialiśmy sobie, że nasze organizmy zawodzą w ekstremalnych warunkach. Mieliśmy wiele problemów zdrowotnych już w trakcie

FOT. ŁUKASZ ŁATNIK, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 1217c1a75a

Kadry z filmu „Silver".

zdjęć. To było najbardziej fizyczne doświadczenie filmowe w moim życiu. Ból górników przestawał być abstrakcją – czułam go w ciele, w oddechu, w sposobie poruszania się.

Duchowy wymiar wiązał się głównie z kontaktem ze śmiercią?

– To było wieloetapowe. Rzeczywiście uczestniczyliśmy w ceremoniale śmierci. Szamani wchodzą do kopalni, rozpalają ogromny ogień i wszędzie unosi się dym. Próbują wywołać dusze zmarłych, nawiązać kontakt ze śmiercią, jakby była czymś fizycznym. Górników dotyka również depresja. Mówi się o niej jak o fizycznej rzeczy, która dosłownie zżera tkanki. Obecność boga diabła też nie jest odbierana metaforycznie. Jednocześnie obowiązują zasady określające, czego nie można robić w kopalni. Na zewnątrz ludzie wyznają jednak chrześcijaństwo. Mieliśmy jednego niezwykłego bohatera, który nie pojawia się w filmie. Chodzi o księdza, który na co dzień pracuje jako górnik. Jego msze były moim najmocniejszym przeżyciem religijnym. Kobiety i mężczyźni leżeli na ziemi, w ogromnym płaczu, niektórzy wyglądali, jakby odprawiano nad nimi egzorcyzmy. Kręciliśmy te sceny z ogromnym poruszeniem, ale próbowaliśmy też zrozumieć sytuację. Człowiek zadaje sobie pytania: dlaczego, jak? Bo reakcje wiernych podczas mszy były prawdziwe.

Gdy wyjeżdżałaś z Boliwii, towarzyszyło ci poczucie bezsilności, że nie możesz zmienić rzeczywistości mieszkańców Potosí?

– Wyjeżdżając, musiałam opuścić przyjaciół. Kiedy doświadcza się z kimś tak ekstremalnych sytuacji, wytwarza się silna więź. Czułam więc głównie tęsknotę za dzieciakami i kilkoma innymi osobami. Niemoc oczywiście też mi towarzyszyła, ale nasz film jest na nią odpowiedzią. Nie wierzę jednak w bezpośrednią sprawczość kina. Zjawiska, o których opowiadamy, są bardzo skomplikowane, a pomaganie i zmienianie świata stanowi ogromne wyzwanie. Potosí to jedno z wielu brutalnie eksploatowanych miejsc na ziemi, a zmiana jego sytuacji musi wynikać z odgórnych, rządowych decyzji. I lepszej polityki korporacji. My mamy wpływ na wybór władzy, możemy dbać o wrażliwość społeczną, decydujemy, o czym mówimy i czym się interesujemy. To jakoś się przekłada na rzeczywistość.

Kino daje zaś wgląd w takie fragmenty świata jak Potosí i możliwość współodczuwania i zrozumienia, że spoczywa na nas jakaś odpowiedzialność. Nie chodzi wcale o to, żeby ktoś wykładał pieniądze i poprawił życie jednej osoby żyjącej blisko Cerro Rico. Myślę raczej o zmianie codziennych decyzji, większym uwrażliwieniu na pewne kwestie, przemyśleniu, w jakim banku mamy konto, kogo wspieramy politycznie, jakie książki kupujemy. Ale też komu dajemy widzialność. Nie mogę jednak odpowiadać za cały świat. Biorę odpowiedzialność za siebie i reaguję w filmie na własne poczucie bezsilności.

Zależy ci na pokazaniu filmu w Ameryce Południowej. Miałaś poczucie misji, tworząc „Silver"?

– Wierzę, że film może mieć jakiś wpływ, ale nie wierzę, że zmieni sposób działania lokalnej władzy czy korporacji amerykańskich i japońskich, które czerpią zyski z wydobycia srebra w Boliwii. Wierzę jednak, że coś może się zmienić w przyszłości. Wybrano nowego prezydenta w Boliwii, pojawiają się nadzieje na inną politykę. Moją reżyserską misją było przedstawienie fragmentu świata, który rzadko zyskuje widoczność, a bardzo na to zasługuje. W Potosí żyją osoby, z których możemy być dumni i o które trzeba się zatroszczyć. Chciałam dać widzom szansę odczucia ich doświadczeń bez manipulowania emocjami.

Moglibyśmy się skupiać na gwałtach i innych strasznych rzeczach, które tam się dzieją, ale mieszkańcy by sobie tego nie życzyli. Nie trzeba sięgać po ekstrema, aby ktoś zrozumiał cierpienie i wyobraził sobie, co jest tam z tyłu. Mamy teraz obrazy wojny w mediach społecznościowych, oglądamy brutalne filmiki w sieci i nie widzę, żeby to zmieniało świat. Za szokującymi obrazami i językiem nie idzie realna transformacja.

Wojciech Tutaj

eprasa.pl 1217c1a75a

Oko w oko

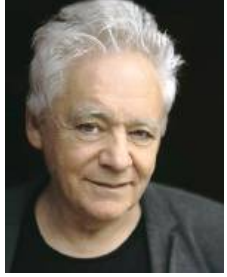

Tomasz Jastrun

Gniew i wola mocy

Janusza Walusia, polskiego emigranta mieszkającego w RPA, skazano na karę śmierci zamienioną na dożywocie. Zamordował z zimną krwią lidera południowoafrykańskich komunistów. Porządny chłop ten Waluś, tylko miał chwilę słabości, zrozumiałą zresztą. Za kratami spędził 29 lat. Został zwolniony warunkowo, zrzekł się obywatelstwa RPA, deportowano go do Polski i ma nasze obywatelstwo.

Waluś wyrasta na bohatera skrajnej prawicy i kibiców piłkarskich. Podczas ligowego spotkania z Pogonią Szczecin na stadionie Legii pojawił się na słynnej Żylecie, gdzie półnadzy kibice walą się pięściami w piersi jak goryle. Byłem tam kiedyś, widziałem. I zawisła na Żylecie flaga z podobizną Walusia. Niedawno znów pokazał się na trybunie stadionu przy Łazienkowskiej w towarzystwie europosła Grzegorza Brauna. Kibole wiwatowali na cześć mordercy. Waluś dzięki Braunowi zapewne znajdzie się na liście wyborczej i wyląduje w Sejmie. Będzie jego ozdobą, jak teraz Mejza i Matecki. PiS już się przymierza do koalicji z Braunem za dwa lata. Wysłannicy PiS byli widziani, jak w nocy po kryjomu zakradają się do łóżka Brauna na szeptanki. Braun może być jęzorem u wagi przy próbie tworzenia koalicji. I będzie stawiał warunki. Typuję go na ministra edukacji. Nasza szkoła będzie odżydzona, narodowo czysta, żadnych Tuwimów, Leśmianów, Schulzów ani Lemów na liście lektur. Gombrowicz, chociaż czysty rasowo, ale lewak i pedał, też won.

Prezesowi wyrosła na prawicy konkurencja, której nie da rady zjeść.

Jedno jest pewne, prezesowi wyrosła na prawicy konkurencja, której nie da rady zjeść. Nie ma mowy o samodzielnych rządach. A jeśli to niemożliwe, grożą nam różne paskudztwa, ale nie zniszczenie demokracji. Dyktatura trzech partii zbyt pokraczna i trudna, będą się blokowali i bali siebie nawzajem. Taki ciemny optymizm.

•

Na filmie „Norymberga". Opowieść o procesie Hermanna Göringa, drugiego po Hitlerze polityka w Rzeszy. Pokazana jest jego zażyłość z psychiatrą Douglasem Kelleyem, który miał badać zbrodniarzy osadzonych w więzieniu Spandau i nawet polubił Göringa, bo ten był taki błyskotliwy i chwilami ludzki. Znakomita rola Russella Crowe'a, który wcielił się w Göringa. Kelley był przerażony, gdy odkrył: oni nie są chorzy psychicznie, ich zachowanie mieści się w normie i nie można go przypisać szaleństwu. Czyli w każdym kraju i w każdym czasie jest mrowie ludzi takich jak nazistowscy przywódcy i oprawcy. W gruncie rzeczy to normalni ludzie, tylko sformatowani przez czas i miejsce, mogliby zasiąść za rządowymi biurkami gdziekolwiek na świecie. Puenta filmu zawiera mimowolną aluzję do Trumpa.

•

Polski parlament, nawet z poparciem prezesa, który nie lubi ludzi, ale lubi zwierzęta, przyjął ustawę, która miała zwolnić psy z łańcuchów. Prezydent ją zawetował. Policzek dla prezesa. Ten „pies" już mu chyba urwał się z łańcucha. „Po co ja wymyśliłem tego Nawrockiego?", łapie się za głowę Kaczyński. Prezydent staje w obronie wiejskiego ludu, który trzyma psy na łańcuchach. Piękny wiersz Wisławy Szymborskiej, jakby napisany na tę okoliczność:

Łańcuchy
Dzień upalny, psia buda i pies na łańcuchu.
Kilka kroków opodal miska pełna wody.
Ale łańcuch za krótki i pies nie dosięga.
Dodajmy do obrazka jeszcze jeden szczegół:
nasze o wiele dłuższe
i mniej widzialne łańcuchy,
dzięki którym możemy swobodnie przejść obok.

•

Powszechna zgoda, że właśnie nastąpił koniec naszego świata, rodzi się nowy, nie wiadomo jaki. Administracja USA w 33-stronicowym dokumencie projektuje nadejście nowej epoki: podziału imperialnych stref wpływu, nowych aliansów politycznych i strategicznych, nowej filozofii gospodarczej oraz nowego zestawu wartości. Niemiecki tygodnik „Der Spiegel" streszcza dokument: „Europa przypadła w nowym podziale świata Rosji. Europa ma być biała, podzielona na nacjonalistyczne »państwa narodowe«, ma zapomnieć o prawach człowieka, prawach zwierząt, ekologii itp., rozłożyć szeroko nogi dla amerykańskiego biznesu, który nie będzie krępowany żadną prezerwatywą unijnych przepisów". Tygodnik odnotowuje, że w pojęciu administracji USA Europie prócz upadku gospodarczego grozi zanik cywilizacyjny. Do głównych problemów należą – zdaniem Amerykanów – działania Unii Europejskiej, które ograniczają „wolność polityczną".

A ja w puencie pytam: czy Trump uderzy na Wenezuelę? Dałby tym sygnał Chinom, by sobie zajęły Tajwan, a Rosji – by zajęła Ukrainę. Europa już nie ma czasu, musi wzbudzić w sobie gniew i wolę mocy. Przecież to jest bardzo realne. Do roboty! ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1217c1a75a

Daniel Wójtowicz

Półsny bez blasku

Czy wszystko, co umieszczone na blejtramie, może mieć rację bytu jako dzieło malarskie?

Wystawa malarstwa „Opowiem Wam o półsnach" wymaga od widza dużej dozy życzliwości. Okazuje się bowiem pozbawiona blasku. Brakuje w niej iskier, które powinny sypać się spod pędzli malarzy młodych. Nie ma w niej zbyt wiele spodziewanej oryginalności ani świeżości. A jednak zobaczyć ją warto – mimo wszystko skłania do namysłu i zostawia ślad.

Odbywa się w Gdańsku, w zabytkowej Zielonej Bramie. Jest drugą częścią bardzo istotnego wydarzenia artystycznego – prezentacji unikatowej kolekcji obrazów młodych polskich malarzy. Ich nazwiska nie nabrały jeszcze wystarczająco wielkiej mocy, nie mają autorskich galerii, tworzą w rozproszeniu, często bez rozgłosu. Dlatego możliwość przekrojowego spojrzenia na ich twórcze wysiłki i dokonania jest naprawdę cenna. Zawdzięczamy ją bezprecedensowej hojności mBanku, który przez kilka lat skupował te dzieła, by ostatecznie podarować je gdańskiemu oddziałowi Muzeum Narodowego. Ono też jest organizatorem wystawy.

O jej pierwszej części, „Opowiem Wam o sobie/o nas", pisałem na łamach „Przeglądu" (nr 36/2025). Była dla zwiedzających łatwiejsza, gdyż złożona została z dzieł o wymowie bardziej klarownej, mogących uchodzić za rodzaj osobistych deklaracji. Tu, jak uprzedza sam tytuł, mamy do czynienia ze snami. I to niepełnymi. W rozumieniu kuratorów niepełność ta nie oznacza jednak niedokończenia – to raczej połowiczne wymieszanie fikcji z realnością. Co w dzisiejszych czasach nie powinno dziwić, bo ta druga, zwłaszcza w przypadku ludzi młodych, wymieszana jest dość mocno z rzeczywistością wirtualną: w laptopach, smartfonach czy telewizorach. Może zatem oni muszą już tylko tak odnosić się do świata?

Starsze pokolenia ciągle chyba nie są do tego wystarczająco wdrożone. Oglądamy więc na gdańskiej wystawie te wydumane kompozycje – bez specjalnego zrozumienia ich sensu i intencji autora. Może rzeczywiście patrzymy tak jak na podglądane cudze sny, których wymowa i siła emocjonalna znana jest tylko śniącemu, a czasem i dla niego samego pozostanie tajemnicą.

I tak patrzę na małą, nagą postać siedzącą na listku w kręgu ognistej lawy w kraterze wulkanu niczym na pizzy („Lawa parzy", Marcin Janusz 2022). Obok – dwie nagie dziewczyny, o mocno zaburzonych proporcjach ciała, zwrócone ku sobie, a pod ich nienaturalnie powiększonymi nogami zalega czyjaś oderwana głowa z kwiatem w rozwartych ustach... („Gigantki", Zuzanna Szary, 2021).

> Nie chciałbym znaleźć się w tych snach. Są chaotyczne, pełne niepokoju, ponure.

Nie chciałbym znaleźć się w tych snach. Są chaotyczne, pełne niepokoju, ponure. Odległe od jakiegokolwiek szablonu, jako że dziś, w epoce postmodernizmu i pluralizmu form nie ma już żadnych sztywnych zasad konstrukcji malarskich. Wszystko, co zostanie umieszczone na blejtramie, może mieć rację bytu jako dzieło malarskie. Nawet wprost chodzi o to, aby było ono jak najmniej podobne do czegokolwiek wcześniejszego, by mogło zasłużyć sobie na miano (wartościowej) oryginalności. I właśnie takie wrażenie odnosi się na gdańskiej wystawie – wielu twórców tym właśnie się kierowało: jak najbardziej odróżnić się od tego, co już było, i od tego, co powstaje w sąsiedztwie.

Oto obraz jakby-człowieka przyszłości, humanoidalnego robota czy manekina, złożonego niedbale z różnych boksów i elektronicznych elementów, z twarzą zagubioną gdzieś w ciele i z nieporadnymi rękami, z płaskim kluczem monterskim w jednej z nich, pod nabazgranym napisem „Deus" („Deus Man. Cyfrowy Ganesha", Jan Możdżyński & Jakub Gliński, 2020).

Poczucie, że autorzy silili się na oryginalność – zbyt widocznie – przeszkadzało mi w zachwycaniu się pracami. Pamiętam jednak z innych wystaw, że przecież w historii wszyscy nowatorscy twórcy, nawet tacy jak Turner, van Gogh czy Munch, przeważnie nie byli akceptowani przez współczesnych. Oskarżano ich właśnie o to, że za bardzo silą się na oryginalność...

Duża część obrazów nie usiłuje przedstawiać jakichkolwiek konkretnych treści, lokuje się w obszarze czystej abstrakcji, kompozycji kolorystycznych i geometrycznych, strukturalnych. My traktować je musimy, zgodnie z zasadą odbioru abstrakcji, jako wyzwanie dla naszej wyobraźni. Ich znaczenie i wymowa ujawnić się może tylko w naszych oczach i umysłach. Ale też nie musi. Jeżeli zatem odchodzimy od obrazu bez emocji, to można się zastanawiać, kto w tej konfrontacji przegrał – czy malarz z nami, czy to my z nową sztuką? Sam Picasso przecież żartobliwie podkreślał, że jeśli niczego nie rozumiesz z książki w obcym języku, to nie oznacza, że nie ma w niej treści...

Wystawa „Opowiem Wam o półsnach" ma swój katalog. Obrazy są w nim szczegółowo opisane i objaśnione – zgodnie z intencjami autorów. I tu zaczyna się kłopot, okazuje się bowiem, że każdej pracy

eprasa.pl 1217c1a75a

Gigantki, Zuzanna Szary.

Bez tytułu, Mateusz Szarzyński.

Deus Man. Cyfrowy Ganesha, Jan Możdżyński & Jakub Gliński.

towarzyszyło jednak bardzo dużo konkretnych założeń twórczych, intencji i treści. Często nawet przejmujących. Buro-niebieska, sina, wieloręka postać tańczącej w mroku kobiety („Szamanka", Paulina Stasik, 2020) jest wyobrażeniem autorki o androgynicznym bycie, jego tajemnicy i bólu istnienia w tej postaci. Dalej: zbiór symbolicznych elementów – ludzkich głów, luster z ich odbiciami, dłoni, dziwnych łańcuchów i innych przedmiotów jest dla autorki próbą analizy samej siebie w zderzeniu z zarzutem narcyzmu („Szukając siebie w czyśćcu", Emilia Jechna, 2021). Krzyczący ostrością obraz kościotrupa buszującego jakby w rzeźni okazuje się – co zresztą można było przewidzieć – ekspresyjnym obrazem odzwierciedlającym nastrój młodego malarza (Bez tytułu, Mateusz Szarzyński, 2023).

Jeśli trzymać się będziemy opisów z katalogu, szybko do nas dotrze, że obrazy w muzealnych salach Zielonej Bramy chciały przemówić bardzo konkretnymi, chwilami wyrafinowanymi intelektualnie myślami i rzeczywistymi emocjami. Nie wiem, czy powinienem być zdolny do ich odczytania i zrozumienia bez podpowiedzi. Może nie są wystarczająco komunikatywne? A może moje oczy i moja wyobraźnia nie są w stanie dostrzec tego, co powinny? I tu ja, 70-latek, zadaję sobie pytanie, na ile jestem obecny w rzeczywistości ludzi w wieku moich dzieci, 30-latków i tych jeszcze młodszych? Czy nasze światy pokrywają się ze sobą, czy potrafimy na nie patrzeć tak samo? Czy obraz świata, jaki tworzą malarze młodego pokolenia, powinien być, może być czytelny i dla mnie?

I jeśli nawet zebrane prace nie docierają do mnie w pełni z ich założoną wymową, jeśli nie uwodzą mnie formą, to zadaję sobie pytanie, dlaczego wszystkie są tak bardzo ponure. „A dlaczego miałyby być inne? – niecierpliwi się znajoma, mama dorosłych dzieci, której relacjonuję wrażenia z wystawy. – Są takie, jakie jest to całe pokolenie: zanurzone w zwątpieniu i szarości ducha, w depresji".

Wybierałem się na gdańską wystawę młodego polskiego malarstwa, podobnie jak na inne wystawy sztuki współczesnej, z nurtującym mnie coraz bardziej pytaniem. Jeżeli zwykle wielka sztuka była zapowiedzią nowego, jeśli często nie była rozumiana przez współczesnych, jeżeli niosła w sobie to, co okazywało się odkryciem i przedmiotem zachwytów następnych pokoleń, to co dziś jest tym ładunkiem? I w których pracach jest on ukryty, a które są tylko artystycznym nieporozumieniem? Które są ziarnem przyszłości?

Trudno oddzielić ziarna od plew. Gdańska wystawa chyba tego wcale nie ułatwia.

Opowiem Wam o półsnach (odsłona II)
Oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku
– Zielona Brama, Długi Targ 24
do 22 marca

FOT. DANIEL WÓJTOWICZ (3)

eprasa.pl 1217c1a75a

FABUŁA

Jay Kelly,

reż. Noah Baumbach, Netflix

To jeden z najciekawszych (i być może najlepszych) dramatów tego roku. „Jay Kelly" opowiada historię kultowego aktora (znakomity George Clooney), który rozlicza się ze swoją przeszłością. Czy sława w Hollywood faktycznie była tego warta? A może nie trzeba było poświęcać rodziny dla kariery? Bohater wyruszy w podróż, która na zawsze odmieni jego życie. Całość

przypomina zaś połączenie komediowego stylu Allena z oniryzmem Felliniego. Ceniony reżyser Noah Baumbach nie oferuje kina sentymentalnej ułudy i nie wmawia nam, że każdy ma szansę wynurzyć się nawet z najgorszego szamba. Przeciwnie – to przypowieść o godzeniu się z tym, że być może zawaliliśmy życie prywatne kosztem kariery. Kelly'emu pozostaje pogodzić się ze swoimi wyborami i być gwiazdą.

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ

Bliźniacy i sobowtór

Świetnie napisana farsa. Przezorny partner, widząc, że jego partnerka Marion (Barbara Kurdej-Szatan) wykazuje przesadne zainteresowanie pewnym agentem nieruchomości, wynajmuje bliźniaczo podobnego kloszarda, aby zagrał owego agenta i nieco go Marion obrzydził. A ten zagrać może bez trudu, bo jest aktorem amatorem, ale może nie tak świetnym, jak mu się wydaje. Sprawę komplikuje schadzka, którą partnerka aranżuje z agentem w domu na prowincji. Ale tam czeka nie tylko on, lecz również mnóstwo komplikacji.

Oczywiście, jak to w farsie, najważniejsze są drzwi, którymi wchodzą i wychodzą kolejne wcielenia sobowtóra: Paweł Koślik uwija się jak w ukropie, zmieniając prezencję i styl gry; bawi się wyśmienicie, a co ważniejsze, bawi się też publiczność.

Wojciech Adamczyk doskonale naoliwił ten mechanizm, który bez najmniejszych zgrzytów zmierza do finału, Koślik gra kilka postaci, a to niebywała gratka dla aktora, nawet takiego, co to niejedno przeżył w kabarecie. Ale innym także nie brakuje roboty. Magdalena Wójcik z brawurą ukazuje wulkaniczny wybuch chuci starszej pani. A zapobiegliwy partner w wykonaniu Jacka Bończyka dwoi się i troi, aby nie pogubić się wśród wcieleń agenta-aktora-hydraulika. Zabawa pyszna, do tego językowo wysmakowana. Barbara Grzegorzewska dodała tekstowi komicznego smaku w przekładzie.

Tomasz Miłkowski

Sébastien Castro, „Genialny pomysł", tłumaczenie Barbara Grzegorzewska, reżyseria Wojciech Adamczyk, Teatr Capitol, Duża Scena, premiera 19 listopada 2025

NA POWAŻNIE

Gian Carlo Menotti, „Amahl i nocni goście", reżyseria Włodzimierz Nurkowski, dyrygent Andrzej Korzeniowski, Opera Krakowska, 29 listopada 2025

Amahl i Trzej Królowie

Do przedświątecznego repertuaru Opery Krakowskiej, obok „Dziadka do orzechów" i „Nowej opowieści wigilijnej", doszła pozycja do tej pory nieprezentowana na tej scenie. Fabuła opery jest dość prosta – Trzej Królowie w drodze do Betlejem chłopcu o imieniu Amahl, poruszającemu się o kulach, przekazują dar zdrowia. Dzieci nie mają kłopotu ze zrozumieniem treści, co widać po reakcjach widowni. Odbiór opery ułatwił im zespół realizatorski z Włodzimierzem Nurkowskim na czele. Wielce efektywnie i efektownie od strony wizualnej wsparła go w tym dziele Anna Sekuła. Jej scenografia, zwłaszcza kolorowe kostiumy, przykuwają uwagę. W premierowym przedstawieniu tytułową rolę wykonywał Gabriel Golik, starając się poradzić sobie z trudną partią. Jego sceniczna matka, Iwona Socha, musiała wykazać się również opanowaniem sztuki aktorskiej. Podobnie Trzej Królowie – Jarosław Bielecki, Michał Kutnik i Wołodymyr Pańkiw.

„Amahl i nocni goście" to obok „Goi" najbardziej znane dzieło Menottiego. Choć brakuje w nim operowego hitu, wprowadza małych melomanów w świat opery. Z pewnością więc przysporzy krakowskiej operze publiczności.

Paweł Dybicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. ANDRII RAFAEL, CEZARY PIWOWARSKI, NETFLIX

eprasa.pl 1217c1a75a

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

„Będziesz siedział!”, powrzaskują politycy z obu stron, ich poplecznicy skandują tę frazę tłumnie, to wciąż maksymalny wymiar kary, jaki przychodzi do cywilizowanych głów, na prawo od których jednooki konfederata koronny cedzi przez zęby: „Będziesz pan wisiał!”. Ale nie tylko ta groźba karalna uszła mu na sucho, z wszystkiego wykpić się potrafi, do sądu przychodzi w asyście kryminalno-putlerowskiej, a na rozprawie wnioskuje o zmianę sędziego, powołując się na prawo Unii Europejskiej, którą jawnie ma w pogardzie.

Fakt, że Grzegorz Braun pozostaje na wolności, a jego partia wciąż nie została zdelegalizowana, jest miarą nieskuteczności polskiego prawa i skundlenia polskiej polityki. Zamiast się martwić, cóż to się stanie za dwa lata, kiedy będzie trzeba szukać kompana do koalicji w szefie faszystowsko-katotalibskiej sekty, należy go wykluczyć na zawsze z życia politycznego i publicznego. Zaprawdę powiadam wam, nie lękajcie się, że ruskie onuce i polskie naziole będą miały swojego męczennika – lepiej, żeby miały męczennika, niźli reprezentanta w rządzie. Nikomu pochopnie i spontanicznie pierdla nie życzę, ale są męty dla kraju i ludzkości tak szkodliwe, tak perfidne, że należy je po prostu pozbawić możliwości czynienia szkód. Braun przekroczył już wszelkie możliwe granice. Zwłaszcza jeśli się wie, jak niewiele potrzeba zwykłemu Kowalskiemu, żeby dostać się za kraty. Wypijesz piwko na ławeczce, pojedziesz na gapę, postawisz się policjantowi, spóźnisz z alimentami albo żona w ramach przygotowania do rozwodu oskarży cię o znęty. Są setki sytuacji, których weryfikacji doczekać możesz w areszcie tymczasowym.

A to nie jest sanatorium, jak mogłoby wynikać z programu „Eksperyment: Odsiadka”, który teraz zapodaje jedna ze stacji komercyjnych. Celebryci z rozmaitej maści mediów dają się zamknąć na krótko z autentycznymi recydywistami (choć już zresocjalizowanymi); wszystko jest ustawione i wyreżyserowane, żeby nikomu włos z głowy nie spadł. Rzecz dzieje się na oddziale półotwartym – luzik, drzwi do celi pootwierane, można chodzić po korytarzu i odwiedzać kumpli, atmosfera trochę jak na koloniach. Tyle że zamiast wychowawczyni, która upomni na apelu i wyśle list do rodziców, są klawisze, którzy mogą zamknąć na „dźwiękach”, czyli w tzw. celi zabezpieczającej. To jest współczesny karcer – dźwiękoszczelna zastanawialnia, gdzie, o ile nie umiesz medytować, oszalejesz z nudy i klaustrofobii.

Temat penitencjarny jest też gorący medialnie, albowiem swoje pół roku „katorgi” w areszcie śledczym opisał na kilkuset stronach dziennika Janusz Palikot i teraz próbuje to zmonetyzować, promując książkę. Wynika z niej, że najbardziej doskwierała mu dieta. Pomijam niedostępność drogich win i destylatów – autor narzeka na dietę, by tak rzec, studencką, której emblematycznym przykładem jest chleb z serkiem topionym. Rozumiem, że Palikot spadł z wysokiego konia wykwintnej kuchni przygotowywanej przez sztab prywatnych kucharzy, ale nawet zwykłemu zapchajdołkowi, jakim zdarzyło mi się kiedyś być przez dwie doby, upokorzenie i odczłowieczenie poprzez menu więzienne łatwo daje się we znaki. Owóż, podano mi w celi na obiad podgrzaną karmę dla psów, którą rozpoznałem, bo akurat tę samą kupowałem swojemu kundelkowi. Kiedy odmówiłem spożycia, straszono mnie sondowaniem (przymusowym karmieniem przez nos).

Ze wspomnień zapchajdołka

Palikot miał szczęście, bo doczekał się przyborów do pisania; kiedy ja zagadnąłem klawisza o zeszyt i ołówek, zapytał zatrwożony, do kogo chcę pisać („pisarzami” w puszce nazywa się więziennych pieniaczy, co to nieustannie gryzmolą skargi i wnioski). Jakby kto pomyślał, że pod celą będzie miał chociaż czas, żeby sobie poczytać, na dołku ma dostęp wyłącznie do „Gazety Policyjnej” lub… kryminałów. A i z czytaniem może być kłopot, bo się oddaje do depozytu wszelkie przedmioty, które można wykorzystać w celu autodestrukcji, a więc obok sznurówek także okulary. Ze spaniem też może być niejaki problem, jak kto nie przywykł do całodobowego światła pod celą, świadomości, że kamera nieustannie filuje, nie mówiąc już o współosadzonych, którzy chrapią. Mój spał nieprzytomnie na zaaplikowanych mu środkach uspokajających, kiedy się obudził, w słowotoku zmieścił całe swoje życie łącznie z ostatnią awanturniczą dobą, wskutek której nie wiedział jeszcze, czy dostanie wyrok za pobicie, czy za zabójstwo, bo jego ofiara wciąż była w komie.

Jeśli kto ceregieli się przy wydalaniu, nawet zwykła sikupa może być problemem, bo trzeba się załatwiać w asyście klawiszy, od których oddzielają tylko krótkie, „saloonowe” drzwiczki. Generalnie pod celą na dołku jest też problem z czasem; nie ma zegarów, zegarek w depozycie, a klawisze nie mówią, która godzina – każda minuta puchnie w wieczność, ten eksperyment jest szczególnie dotkliwy.

O tych wszystkich powitalnych atrakcjach wstępnych dla zatrzymanych muszą wiedzieć także nasi polityczni emigranci hungarofile. Nie chcą iść siedzieć. Woleliby jeszcze trochę postać. Ja ich rozumiem, no ale cóż, kiedy się nabroiło. ■

eprasa.pl 1217c1a75a

Bliskość luksusem przyszłości?

Coraz trudniej o relacje, które wymagają czasu i zaangażowania

Weronika Mikusek

W czwartkowe popołudnie w kawiarni w środku Warszawy trudno znaleźć wolny stolik. Jedni odpoczywają z książką po skończonej pracy, drudzy powtarzają materiał z zajęć na uczelni, jeszcze inni zabierają pracę z biura do lokalu. Z zewnątrz wygląda to na codzienną rutynę w mieście. Gęstość życia i nieustanny ruch. A jednak – przyjrzyjmy się temu uważniej – wzrok ludzi skupia się na ekranach, a jedynym wspólnym mianownikiem jest obecność w tej samej przestrzeni. Sprawia to wrażenie samotności w tłumie. O wiele bardziej realnej, niż chcielibyśmy przyznać.

To współczesny paradoks, bo otaczamy się coraz większą liczbą ludzi i jednocześnie czujemy się odizolowani. Bliskość nie wynika z samej obecności innych obok, wymaga uważności i nawiązywania relacji. Czegoś, czego – mam takie wrażenie – brakuje młodym ludziom najbardziej.

Ucieczka w dopaminę

Życie w sieci to jeden z najbardziej charakterystycznych mechanizmów radzenia sobie ze współczesną samotnością. Reakcje na posty innych i komentarze pod filmami publikowanymi w mediach społecznościowych dają iluzję kontaktu społecznego. Ta powierzchowna bliskość szybko znika, pozostawiając po sobie poczucie pustki i potrzebę kolejnej dawki dopaminy.

Do tego dochodzą portale randkowe, które w teorii ułatwiają poznawanie ludzi, a w praktyce często przynoszą stres i lęk przed porzuceniem. Jedna z moich koleżanek po kilku latach randkowania online mówi: – Po kolejnych zawodach miłosnych nie chcę wracać do tego chaosu. Relacje z aplikacji są płynne i do niczego nie prowadzą.

W aplikacjach randkowych rządzi mechanika wyboru. Przypomina to bardziej katalog niż miejsce do zawierania wartościowych znajomości. Profil danej osoby, na podstawie zdjęcia, można przesunąć w prawo, jeśli się spodoba, lub w lewo – jeśli ten ktoś nie jest wystarczająco atrakcyjny. Tworzy to złudzenie nieskończonych możliwości. Trudniej zainwestować uwagę, gdy następne potencjalne połączenie jest dosłownie na wyciągnięcie kciuka. Budowanie relacji wymagających cierpliwości staje się skomplikowane w wirtualnym świecie, którym rządzi algorytm. Dlatego intymność trzeba tworzyć wbrew nawykom, nie dzięki nim, a to już nieporównywalnie trudniejsze niż kolejne przesunięcie w prawo.

Na temat współczesnego doświadczenia samotności wśród 20- i 30-latków rozmawiam z psycholożką społeczną dr Magdaleną Łużniak-Piechą z Uniwersytetu SWPS. – Samotność nie oznacza po prostu bycia samemu, jest raczej brakiem „czegoś” – wyjaśnia. – Prościej mówiąc, to brak relacji społecznych w danym momencie. A ten moment może trwać krócej lub dłużej.

Pytam, jak jej zdaniem zmieniło się rozumienie samotności we współczesnym społeczeństwie. Często bowiem odnoszę wrażenie, że kiedyś była tematem wstydliwym, a dziś wydaje się wręcz oswojona. – Samotność nadal jest emocją negatywną. W przeciwieństwie do świętego spokoju, płatnego osamotnienia, pobytu w samotni, detoksu społecznego albo jak to tam jeszcze bywa nazywane – odpowiada.

Skąd więc bierze się wrażenie, że samotność przestaje być tabu? – To, że odbieramy pewną emocję jako

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1217c1a75a

negatywną, to jedno. A to, że zaczynamy przyjmować jako fakt, że nasze życie w tę negatywną emocję obfituje, to już coś zupełnie innego – tłumaczy ekspertka i dodaje: – Właśnie to wydaje mi się nowym zjawiskiem: zaakceptowaliśmy obecność tej emocji w codzienności.

Bliskość na pół gwizdka

W ostatnich latach popularność zdobywa nowa, a przynajmniej nowo zdefiniowana forma relacji, tzw. *situationship*. Ma cechy charakterystyczne związku romantycznego, ale bez zobowiązań i deklaracji. Czyli coś pomiędzy byciem singlem/singielką a byciem razem. W ten sposób w przypadku „zerwania" można wygodnie uciec w zdanie, że „przecież niczego ci nie obiecywałem/am". Taka relacja pozwala czerpać korzyści z bliskości, a jednocześnie unika się odpowiedzialności za drugą osobę.

Szukając w internecie spostrzeżeń na temat tego zjawiska i osobistych historii z nim związanych, natrafiłam na Instagramie na komentarz internautki, że „*situationship* jest wtedy, gdy on nie szanuje cię na tyle, żeby z tobą być, ale jesteś na tyle ładna, żeby chodził z tobą do łóżka". Ile w tym prawdy? Nie wiem, ale liczba polubień wpisu sugeruje, że nie tylko jego autorka tak myśli. To sygnał, że *situationship* bywa interpretowany nie jako swobodna relacja, lecz także jako forma emocjonalnej nierówności.

Współczesne randkowanie dodatkowo sprzyja kruchości relacji. Ludzie szybko wchodzą w związki i jeszcze szybciej się z nich wycofują. Gdy ma się tyle możliwości poznania drugiej połówki, jedna niedoskonała cecha wystarczy, żeby z kogoś zrezygnować. Ponieważ poczucie, że za rogiem czeka ktoś „lepszy", bez tej konkretnej wady, z zerową jeszcze liczbą potknięć, jest wystarczającym argumentem, żeby zerwać. W tym sensie *situationship* stanowi odbicie kultury wymienialności.

Samotność nie jest obecna jedynie w sferze randek i situationshipów. Wolność wyboru – tak chętnie mówimy o indywidualizmie, który coraz częściej odbija się na jakości naszych przyjaźni. Cenimy swoją niezależność i granice, nie zauważając, że te wartości mogą kolidować ze stałością i regularną obecnością, których przyjaźń potrzebuje. Jeśli każdy organizuje czas według swoich oczekiwań, nie ma miejsca na spontaniczne spotkania, w sytuacji gdy nasz przyjaciel lub przyjaciółka nas potrzebują. Zarazem rośnie przekonanie, że powinniśmy radzić sobie sami, a prośba o wsparcie to oznaka słabości i temat dla terapeuty, nie dla osób poza jego gabinetem.

Paradoks polega na tym, że im usilniej staramy się być samowystarczalni, tym bardziej tęsknimy za tymi, z którymi łączy nas więź emocjonalna. Kultura indywidualizmu nie daje przyjaźni się rozwinąć.

– Łatwiej jest mi utrzymywać lekkie i wygodne znajomości niż głębokie więzi, które wymagają zaangażowania – mówi Marek poznany na domówce u innego znajomego, który też jest dla mnie dalszym niż bliższym kolegą. W efekcie przyjaźnie 20- i 30-latków bywają delikatne jak szkło. Wystarczy przeprowadzka do innego miasta czy zmiana partnera lub partnerki, żeby się rozpadły.

Im usilniej staramy się być samowystarczalni, tym bardziej tęsknimy za tymi, z którymi łączy nas więź emocjonalna.

Ta „wolność wyboru" traktuje relacje jak elementy stylu życia, bo nie pozwala ich pielęgnować niezależnie od okoliczności. Dopasowuje się je do bieżących potrzeb. Nikt z nas nie jest przecież samotną wyspą, żyjemy w społeczeństwie.

Epidemia samotnych mężczyzn

Czy samotność ma płeć? Przeglądając fora internetowe (choć nie tylko, bo również media społecznościowe), coraz częściej natykamy się na narrację o „epidemii samotnych mężczyzn". Mimo że sami wypracowali swoją samotność, nie pojawia się u nich cień refleksji. Zjawisko to jest przez nich opisywane jako katastrofa społeczna zawiniona przez kobiety. Bo mają one zbyt wysokie wymagania i „nie potrzebują" już mężczyzn. Znaczna część tych wypowiedzi pomija jeden zasadniczy element – odpowiedzialność za własne zachowania.

Te „wymagania", o których piszą mężczyźni, to najczęściej po prostu stawianie jasnych granic i brak akceptacji dla przedmiotowego traktowania. Kobiety niezależne finansowo i zawodowo nie muszą tkwić w relacjach, które je unieszczęśliwiają. To nie „wygórowane oczekiwania", ale normalna, zdrowa reakcja na możliwość wyboru, której ich matki i babki nie miały. Historycznie bowiem częściej taką dominującą pozycję zajmowali mężczyźni ze względu na ich przewagę ekonomiczną i społeczną.

Magdalena Łużniak-Piecha podkreśla: – Jeśli ktoś stawia partnerowi wymagania nierealistyczne, przedmiotowe, sam tworzy relację pozbawioną intymności i zaangażowania. Oczekiwania typu określony wzrost i status majątkowy nie budują bliskości. Podobnie działała model, że „partnerka musi mieć poniżej 25 lat". To gwarancja wiecznej powierzchowności. W takich układach namiętność bywa przypadkowa, a prawdziwej relacji nie ma wcale.

Zarówno kobiety, jak i mężczyźni mogą mieć nadmierne wymagania, jeśli traktują partnera czy partnerkę jako obiekt do spełniania oczekiwań, a nie jako człowieka. Wówczas bliskość nie ma szans na ugruntowanie się, bo nie stworzymy jej tam, gdzie druga osoba jest traktowana instrumentalnie.

Niektórzy są skłonni do autorefleksji i pracy nad sobą. Inni wręcz przeciwnie, zamykają się w bańkach internetowych, które podsycają poczucie krzywdy i roszczeniowość. Wśród mężczyzn konsekwentnie unikających odpowiedzialności za własne relacje łatwo o postawy typowo „incelskie" (słowo incel pochodzi od angielskiego pojęcia *involuntary celibacy* – mimowolny celibat), takie jak wrogość wobec kobiet i syndrom ofiary przekonanej, że świat jest jej

eprasa.pl 1217c1a75a

coś winien. A to już nie „epidemia samotności", lecz kryzys dojrzałości emocjonalnej.

Przezwyciężyć samotność

Wśród rozmówców trafiłam również na kogoś, kto przezwyciężył samotność dzięki pracy nad sobą. Monika po latach skupiania się na sobie i tzw. *self-care* (dbaniu o siebie na wielu płaszczyznach) uświadomiła sobie, że nie pozwalała bliskim być naprawdę obecnymi przy niej. – Mówili mi, że jestem świetną słuchaczką, ale nie dopuszczam nikogo do swojego środka – wyznaje. Przełomem był trudny okres w pracy. Gdy spotkała się z koleżanką na kawie, rozmowa mająca trwać godzinę przeciągnęła się na całe popołudnie, a Monika poczuła, pierwszy raz od lat, że może na kimś polegać. Dziś rozumie, że bliskość nie odbiera niezależności, ale ją równoważy.

Samotność nie dotyczy tylko młodych (choć na nich skupia się ten tekst). Równie silnie dotyka seniorów, lecz w tym wypadku mogą się różnić jej źródła. Zapytałam ciocię, kobietę w dojrzałym wieku, o jej rozumienie pustki w społeczeństwie. – Dziś obserwuję z dystansem, jak pogubione są młodsze pokolenia, a u nas, starszych, jest trochę inny rodzaj pustki, np. śmierć najbliższych, kolegów i koleżanek, wyprowadzka dzieci „na swoje" lub to, że z powodu choroby nie możemy wychodzić z domu tak często, jakbyśmy chcieli – mówi. – Młodzi są zabiegani, nie mają dla nas czasu. A my nie chcemy być dla nikogo ciężarem. Kiedyś te relacje były dużo trwalsze. Bliskość budowało się latami, z koleżankami ze szkoły kontakt utrzymywałam przez dekady.

Te doświadczenia mogą być cennym kontrapunktem. Pokazują, że więzi należy konsekwentnie pielęgnować i przede wszystkim nie oczekiwać ani natychmiastowych efektów, ani nic w zamian. Ciocia uświadomiła mi, że potrzeba bycia blisko nie znika z wiekiem. Wręcz przeciwnie, staje się coraz bardziej fundamentalna.

Bliskość rzeczywiście ma w sobie coś z luksusu. Wymaga czasu, emocjonalnej energii i gotowości do rezygnacji z części wygód indywidualizmu. Nie jest produktem, który można zamówić od ręki ani tym bardziej nagrodą przyznaną przez algorytm za stworzenie odpowiednio atrakcyjnego profilu. Bliskość rozumiem jako efekt serii małych decyzji. O tym, żeby porozmawiać, zamiast zostawić polubienie pod postem na Facebooku, czy zaakceptować czyjąś niedoskonałość, zamiast od razu szukać „lepszej opcji".

Czy zatem bliskość stanie się luksusem przyszłości? Jeśli wszystko zostanie zostawione logice pośpiechu i wymienialności, prawdopodobnie tak. Bliskość nie zniknie sama z siebie, ale może się stać dobrem rzadkim tam, gdzie przestanie się o nią dbać. Od tego, na co po cichu codziennie się zgadzamy, zależy, czy będzie czymś dostępnym nie tylko dla wybranych. W innym wypadku obudzimy się w świecie, w którym relacje będą dekoracją, a samotność uznamy za normalność i jedyną formę życia, na jaką nas stać.

Weronika Mikusek

eprasa.pl 1217c1a75a

Zdjęcia Agbogbloshie są niezmiennie wykorzystywane do zademonstrowania ponurego losu Ghany.

WYSYPISKO niechcianej elektroniki

Ghana stała się odbiorcą tysięcy ton niesprawnych urządzeń

Alexander Clapp

Twój pierwszy telefon komórkowy, magnetowid, którego się pozbyłeś po pojawieniu się DVD, odtwarzacz DVD, który oddałeś na zbiórkę dla ubogich po pojawieniu się Blu-raya, odtwarzacz Blu-ray, którego nigdy nie używałeś, laptop z college'u, który wyrzuciłeś, ponieważ był całkowicie bezużyteczny przez wirusy – wszystko to mogło równie dobrze przejść przez Agbogbloshie, zostać poddane uderzeniom młotka i pozbawione cennych elementów. Ostatni etap podróży (co właściwie się stało z twoim game boyem z dzieciństwa?), nad którym prawdopodobnie nigdy się nie zastanawiałeś.

Zdjęcia Agbogbloshie są niezmiennie wykorzystywane do zademonstrowania ponurego losu Ghany jako jednego z największych na świecie odbiorców zachodnich odpadów elektronicznych. Rzeczywistość jest jednak bardziej skomplikowana i pod pewnymi względami jeszcze mroczniejsza. Losy Ghany miały być inne. Nigdy nie miała stać się wysypiskiem niechcianej elektroniki obcokrajowców. I wbrew wielu opisom tego, co dzieje się w Agbogbloshie, żaden kraj ani firma na świecie nie wysyła i nigdy nie wysyłała w to miejsce zepsutych telefonów czy telewizorów. Nic z tych rzeczy nie trafia do Ghany jako odpady same w sobie.

To, co się tam wysyła – i jest to nie tylko legalne, ale także promowane przez globalne instytucje, takie jak Światowa Organizacja Handlu i Międzynarodowy Fundusz Walutowy – to stara elektronika, która, jak twierdzą nadawcy, działa. Kiedy firmy zajmujące się recyklingiem lub pośrednicy w obrocie odpadami w krajach takich jak Kanada czy Niemcy wysyłają miliony zepsutych telefonów komórkowych lub wentylatorów sufitowych do Ghany, prawdopodobnie nie myślą, że zlecają zanieczyszczenie Afryki Zachodniej. Mogą naprawdę wierzyć, że obdarzają narzędziami oświecenia i postępu biedny zakątek najbiedniejszego kontynentu świata.

Jak do tego doszło? Jak to się stało, że Ghana – kraj, który jedno pokolenie temu nie posiadał ani jednego działającego komputera – stała się corocznym odbiorcą tysięcy ton zepsutej elektroniki i niesprawnych urządzeń?

Wczesnym lutowym rankiem pojechałem taksówką na wschód od Akry do mało znanego miasta portowego Tema, którego budowę wzdłuż południka zerowego nadzorował na

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1217c1a75a

początku lat 60. prezydent Kwame Nkrumah, chcąc usprawnić eksport złota z Ghany. Autostrada biegła równolegle do atlantyckiego brzegu, mijając szkodliwe cementownie. Ich nowi chińscy właściciele obsadzili trawiaste wybrzeże szeregami ponurych kasyn; zaciemnione okna nasiąkały właśnie wschodzącym słońcem.

Po półgodzinie wjechaliśmy do Temy, gdzie nieformalne targowisko przycupnęło przy wejściu do ogrodzonego terminalu kontenerowego. Rozciągające się od nabrzeża setki stoisk targowych wykonano z przeciętych na poł stalowych kontenerów towarowych, na których wciąż widniały nazwy firm żeglugowych: COSCO, MSC, Maersk. W każdym z nich wystawiono na sprzedaż masę starej elektroniki.

Oferta była szeroka. Mogłem kupić używany wentylator sufitowy z Włoch. Lodówki z Korei Południowej miały wciąż widoczne etykiety ostrzegawcze w języku hangul. Używany blender z Wielkiej Brytanii był dostępny za 45 cedi, czyli jakieś 3 dol. Większość produktów przysyłano tu jednak masowo. Ułożone w stosy monitory komputerowe Dell nosiły żółte naklejki identyfikujące szkołę podstawową w Hanowerze w Niemczech; miejski urząd pocztowy w Norwegii wysłał tutaj przestarzałe telefony stacjonarne, oznaczone kolejnymi numerami 977, 978, 979. Nic z tego nie zostało „wyrzucone" do Ghany. Te rzeczy dostarczono tutaj, żeby Ghańczycy mogli je nabyć.

Każdego dnia do Temy docierają dziesiątki kontenerów wypełnionych tysiącami takich czy innych urządzeń elektronicznych. Niektóre są wysyłane przez brokerów odpadów z krajów zachodnich, którzy specjalizują się w zbieraniu używanej elektroniki z centrów recyklingu lub wysypisk śmieci; inne są przekazywane przez szpitale, uniwersytety, organizacje pozarządowe; jeszcze inne są nadawane przez emigrantów z Ghany, którzy podczas głodu i konfliktów plemiennych w latach 90. przenieśli się do wielkich metropolii północy – Londynu, Nowego Jorku, Toronto – a teraz wędrują po ich ulicach w poszukiwaniu starych urządzeń piętrzących się na chodnikach, które mogą wysłać do krewnych pracujących na ulicznych bazarach Akry.

Jeden szczegół odnosi się do wszystkich tych nadanych do Temy mikserów, wentylatorów sufitowych i komputerów stacjonarnych, niezależnie od tego, kto je wysłał. Kolejne badania ujawniły, że co najmniej jedna czwarta urządzeń w rzeczywistości nie działa, a w ciągu trzech lat od ich przybycia do Afryki Zachodniej większość z tych, które działały, psuje się. Ktoś w Kanadzie lub na Słowacji nie bez powodu zrezygnował z tego blendera, wentylatora lub komputera. Jeśli nie są one jeszcze faktycznymi śmieciami, to wkrótce się nimi staną – śmieciami wypełnionymi cennymi materiałami. Dzięki prostej kalkulacji trafiają z nabrzeża Temy na stragany w Akrze. W zachodnioafrykańskim biznesie używanej elektroniki można kupić tonę niesprawdzonych produktów za ok. 600 dol. Ale za połowę tej kwoty można kupić tonę niesprawdzonej elektroniki, czyli telefonów komórkowych i telewizorów, które zostały przywiezione z Europy lub Stanów Zjednoczonych, ale niekoniecznie gwarantuje się, że będą działać. Telewizor za 20 dol. zamiast 40? Partia komputerów stacjonarnych za 500 dol. zamiast 1000? Większość ghańskich sprzedawców jest skłonna zaryzykować.

Kilka dni później, tuż przed świtem, obserwowałem na Abeka Road w Akrze, jak trzech mężczyzn rozładowuje ciężarówkę pełną starych płaskich telewizorów, które dotarły do Temy wcześniej w tym tygodniu. Położyli je na stole. W ciągu następnej godziny, gdy słońce wznosiło się na niebie, podłączali telewizory jeden po drugim. Te, które się włączyły, pozostały na stole. Te, które się nie włączyły – w przybliżeniu jedna trzecia – odstawiono na chodnik, by sprzedać je handlarzom złomu, którzy jeszcze tego samego ranka zawieźli je na południe, w kierunku Agbogbloshie.

Zanim stary telewizor, laptop lub telefon komórkowy dotrze do Agbogbloshie, nie jest już ani technologią, ani śmieciem; jest to masa surowców, które zostały zlutowane, sklejone i wywiercone razem, a teraz muszą zostać rozdzielone. Weźmy smartfon w twojej kieszeni, który zawiera ponad 70 różnych metali i minerałów, wiele o dużej wartości, w cienkich, połączonych ze sobą warstwach. Jego głośniki zawierają nikiel. Jego bateria składa się z litu i kobaltu. Na płycie głównej znajdują się krzem, niewielkie, ale cenne ilości złota i srebra, pętle miedzianego okablowania.

Agbogbloshie nie jest po prostu miejscem docelowym dla „skazanych" telefonów – nie jest to „wysypisko" w konwencjonalnym sensie. Celem pracujących tu ludzi jest oddzielenie i wydobycie jak największej ilości tych wewnętrznych materiałów tak szybko i tanio, jak to możliwe.

To trudna praca. Oprócz długoterminowych konsekwencji zdrowotnych, jakie wiążą się z prowadzeniem wielkiego złomowiska pośród 60 tys. ludzi o znikomym dostępie do opieki medycznej, w całym Agbogbloshie widać przypomnienia o niebezpieczeństwach związanych z rozbijaniem zepsutej elektroniki przez 10 godzin dziennie. Slumsy są pełne rąk i stóp bez palców, kończyn z oparzeniami; raz na jakiś czas spotyka się też jednookich demontażystów.

Celem ludzi pracujących w Agbogbloshie jest oddzielenie i wydobycie szybko i tanio jak największej ilości materiałów.

Fragmenty książki Alexandra Clappa, *Wojna o śmieci. Globalne śledztwo w sprawie brudnego handlu twoimi odpadami*, tłum. Piotr Królak, Szczeliny, Kraków 2025

eprasa.pl 1217c1a75a

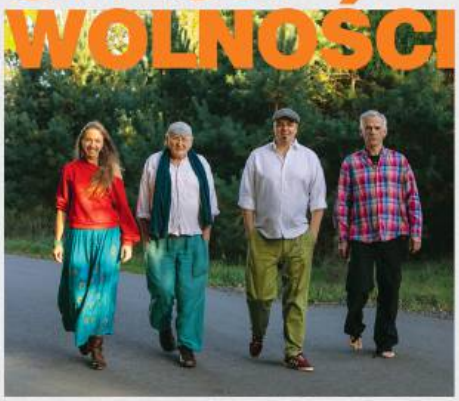

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl 1217c1a75a

JOLKA

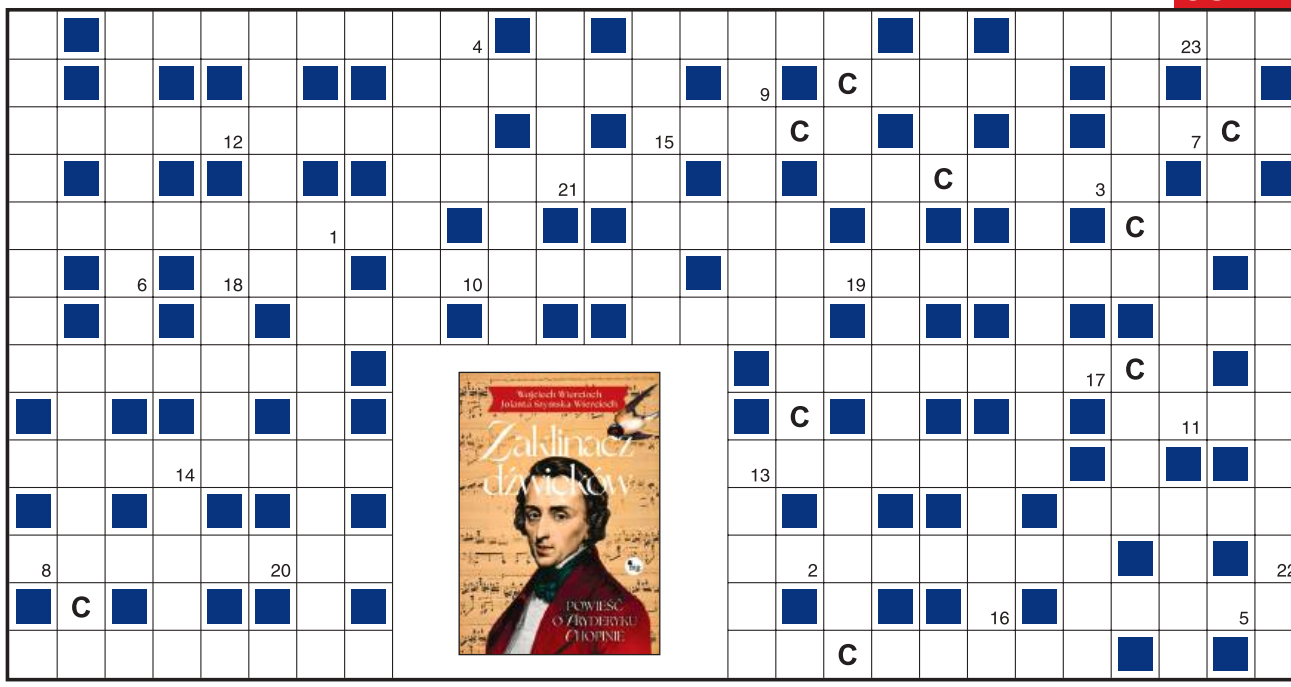

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- największe nasilenie, szczytowy punkt
- ...Przymierza
- bogini łowów, siostra Apollina
- król z zamku Camelot
- …inżynierska – most, droga, ale nie budynek
- drewno kanadyjskiego na elewacje i sauny
- cierp… skoroś chciało
- …wodny – szuka go radiesteta
- niszczyciel, burzyciel, rozbijacz
- słychać je, gdy w pokoju gołe ściany
- miasto w Zagłębiu Ruhry, siedziba RWE AG
- siódma litera alfabetu greckiego
- futerał chroniący okulary
- na całe – bardzo głośno
- siła rozpędu, rozmachu
- cesarzowa bizantyjska, matka Konstantyna VI
- miesięcznik PCK
- Jean-Pierre, reżyser „Amelii”
- zapis pracy serca
- niepokerowy królewski powóz
- tysiąc metrów
- tygodnik ilustrowany wydawany przez Solomona Lewentala
- bebe, stójka lub kent
- oby jak najpóźniej wąchać je od spodu
- część statku kosmicznego osiadająca na ciele niebieskim
- z KO, PSL i Polską 2050 w rządzie
- nikczemnik, łajdak, niegodziwiec
- na wsi nie są u siebie
- jak …kowalski sapie zdyszany
- bardzo długie, nudne zebranie
- niestosowne zachowanie, towarzyska wpadka
- minicęgi, kleszczyki
- pierwotniaki w skorupkach
- tankowane z dystrybutora
- impetyk, choleryk
- Pier Paolo, reżyser „Teorematu”
- słowny dowód uznania
- podjudzanie, namawianie do złego
- z jego lotu – z dużej wysokości
- aluminiowa z napojem
- gwiezdny, wodny lub szkodliwy węglowy
- tekst przysięgi
- narzędzie grawera, snycerza
- na jego czele premier
- broń palna dawna lub kłusownicza
- niejedne w kuligu
- przedstawiciel subkultury z ogoloną głową
- drapieżna ryba z wąsami
- można nim ruszyć i podążać, póki się nie urwie
- pierwsza, potem druga wyborów
- akt prawny uchwalony przez parlament
- „…kwiatów” z „Dziadka do orzechów”
- miasto nad rzeką Avon i hrabia „twórca królów”
- dobry u psa
- zdjęcia do albumu lub skopiowanego tekstu
- wilczy głos
- dokonasz go w sklepie
- początek dziejów

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1252”. Do rozlosowania książki „Zaklinacz dźwięków” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 grudnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1249” z nr. 48: ***Próżna rada po szkodzie.***
Nagrody otrzymują: Tadeusz Dolik z Nosalina, Krzysztof Drong z Bielska-Białej, Agnieszka Plakwicz z Ełku.

eprasa.pl 1217c1a75a

W rzymskim lustrze

Prezydent może osłabiać rząd nie tylko w ten sposób, że wetuje ustawy. Ma również inne narzędzia, m.in. szeroko opisywaną możliwość niepowołania na stanowisko ambasadora RP osoby wskazanej przez MSZ. Tak działał Andrzej Duda (kto o nim dziś pamięta?) i tak działa Karol Nawrocki.

Na pewno odmowa podpisania nominacji ambasadorskich jest dla szefa MSZ mało komfortowa, nie ułatwia także pracy szefom placówek. Ale czy ambasady paraliżuje, bo szarżyk to nie ambasador? Różnie z tym bywa.

Rzecz polega bowiem na tym, że już w czasach rządów PiS, gdy partia ta miała wszystkie ośrodki władzy w swoich rękach, dochodziło do przedziwnych sytuacji związanych z ambasadorami i ambasadami. I często przez wiele miesięcy placówkami kierowali chargé d'affaires a.i. I – uwaga – Polska dobrze na tym wychodziła.

Przykładem niech będą Włochy. Obecnie ambasadą w Rzymie kieruje Ryszard Schnepf, chargé d'affaires a.i., postać szczególnie atakowana przez polską prawicę. Duda wołał, że nigdy mu nominacji nie podpisze, Nawrocki to potwierdza. I teraz samo się nasuwa pytanie: czy w związku z tym polska ambasada zupełnie podupadnie i stosunki polsko-włoskie całkowicie uschną?

Warto przypomnieć, że Ryszard Schnepf był w karierze ambasadorem w Urugwaju, w Hiszpanii, w Panamie i w Stanach Zjednoczonych. Znajomości w korpusie dyplomatycznym ma jedne z większych, a i wiedzę dotyczącą dyplomacji oraz polityki zagranicznej. Jest partnerem do dysput, co w Europie się liczy, podobnie jak fakt, że ma bezpośrednie kontakty z premierem i z szefem MSZ.

Przypomnijmy też, że jego poprzedniczką w Rzymie była Anna Maria Anders. Ona z kolei, obejmując stanowisko, a było to latem 2019 r., nie dysponowała żadnym doświadczeniem w sprawach dyplomatycznych. Wcześniej, jako córka gen. Andersa, pełniła różne, mniej lub bardziej prestiżowe funkcje w obozie władzy PiS. Bardziej jako symbol niż realny decydent. Na Podlasiu, gdzie zdobyła mandat senatora RP, jej nazwisko mogło robić wrażenie. Ale w Rzymie – raczej nieszczególnie. Można rzec, że jeśli chodzi o aktywność polskiej ambasady w Rzymie w latach 2019-2024, był to okres umiarkowany.

A co powiedzieć o czasach wcześniejszych? Ambasada przed nominacją Anny Marii Anders przez niemal rok pozostawała nieobsadzona. Poprzednik pani ambasador, Konrad Głębocki, przeszedł do historii polskiej dyplomacji. Był to poseł PiS z Częstochowy. Nominację ambasadorską otrzymał z datą 5 czerwca 2018 r., ale o tym nie wiedział, więc jeszcze przez kilka dni głosował w Sejmie, choć mandat poselski mu wygasł i posłem już nie był. Jakoś tę sprawę nielegalnego głosowania rozmyto. Ale to dopiero początek przygody. Bo najpierw jakoś mu się nie chciało objąć placówki – listy uwierzytelniające złożył na ręce prezydenta Republiki Włoskiej dopiero 10 września 2018 r., po wakacjach. Potem trochę popracował, a w październiku zrezygnował z funkcji i wrócił do Polski. I placówka czekała na kolejnego ambasadora, czyli na Annę Marię Anders.

Już zatem nie wiadomo, co bardziej polską dyplomację osłabia – polska prawica podstawiająca nogę czy polska prawica w działaniu.

Attaché

Kim Dzong Un złożył wizytę kondolencyjną w ambasadzie rosyjskiej w Pjongjangu w związku ze śmiercią ambasadora Aleksandra Iwanowicza Macegory, 10 grudnia 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1217c1a75a

ANTONI SŁODKOWSKI,
DZIENNIKARZ REUTERSA, ZDOBYWCA DWÓCH PULITZERÓW

Mamy w Reutersie staromodne zasady. Nawet prowadząc własne konto na X, nadal reprezentujemy agencję i stronimy od wygłaszania własnych opinii, zwłaszcza na tematy, którymi zawodowo się zajmujemy. Zgodnie z zasadami Reutersa mamy być uczciwi, bezstronni i obiektywni. A prywatnie uważam, że nieuczestniczenie w codziennej sieczce w mediach społecznościowych pomaga w pracy i ocenie rzeczywistości. (…) Czuję się zaszczycony, że dostałem Pulitzery, ale najważniejsza jest dla mnie praca, którą wykonuję. Zresztą łatwiej mi rozmawiać o moim pierwszym Pulitzerze, bo byłem siłą napędową nagrodzonego śledztwa. Jako szef biura Reutersa w Birmie zatrudniłem ludzi, którzy ujawnili kulisy zabójstwa dziesięciu muzułmanów z mniejszości Rohingja. Ta lub inne nagrody nie były jednak dla mnie celem samym w sobie.

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Tytuł „Łachudry jesieni" przyznaję Piotrowi Bałtroczykowi za heroiczną obronę godności ludu Warmii i Mazur, narażonego przez amoralnych włodarzy na kontakt z niegodnym tego Romanem Polańskim. Zatruty 40-procentowymi afektami olsztyński konferansjer stracił zmysły, co nie pozwala mu zejść z estrady w stylu, jaki pokazał ostatnio wstawiony, pardon, wsławiony pijackim występem Kazik Staszewski. (…) Osuwający się w mrok skutków alkoholizmu Bałtroczyk nie jest już w stanie sam sobie wyjaśnić, że emocje, jakie objawił, są identyczne jak reakcje kogoś równie trzeźwego inaczej, kto zaprotestuje przeciw pokazywaniu Bałtroczyka w TVP. Niech go pokazują tylko prywatne stacje.

JAN KOMASA,
REŻYSER

Ludzie zawsze będą potrzebowali marzeń. Ważne, żeby zrozumieć, że ten dream możesz zbudować sam u siebie. Nie musisz szukać go daleko. Może to jest kwestia wieku, ale mam silną potrzebę dzielenia się moim doświadczeniem w Polsce. Uważam, że miejscu, z którego się pochodzi, trzeba oddawać najwięcej, jak się da. Inspirować, motywować, bo to nas czyni silniejszymi. Dlatego uczę w Filmówce. Wiele osób pytało: „Po co wracasz do szkoły? Zajmij się twórczością". A mnie inspirują młodzi ludzie, którzy chcą coś robić i płoną jak ja kiedyś. Przy okazji premiery „Dobrego chłopca" na festiwalu w Toronto bardzo mi zależało, żeby zorganizować warsztat o polskości z kanadyjską Polonią.

MAGDALENA RÓŻCZKA,
AKTORKA

Przed nowym projektem mam zawsze „czaszki w oczach". Skończyłam 47 lat i tak samo przeżywam pierwszy dzień na planie jak tuż po studiach. Gdy czekają mnie zdjęcia próbne, zapominam tekst, robię się zielonoblada itd. Kiedyś Cezary Pazura powiedział mi: „Madziu, to nigdy nie przechodzi. Powiem ci nawet, że będzie gorzej". Miał rację. Moim zdaniem dobrze na castingach wypadłam może trzy razy w życiu, gdy wmówiłam sobie, że mi nie zależy, albo myślałam, że rola jest nie dla mnie. Tak było w przypadku „Matek pingwinów".

FOT. SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 1217c1a75a

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Andrzej Garlicki.

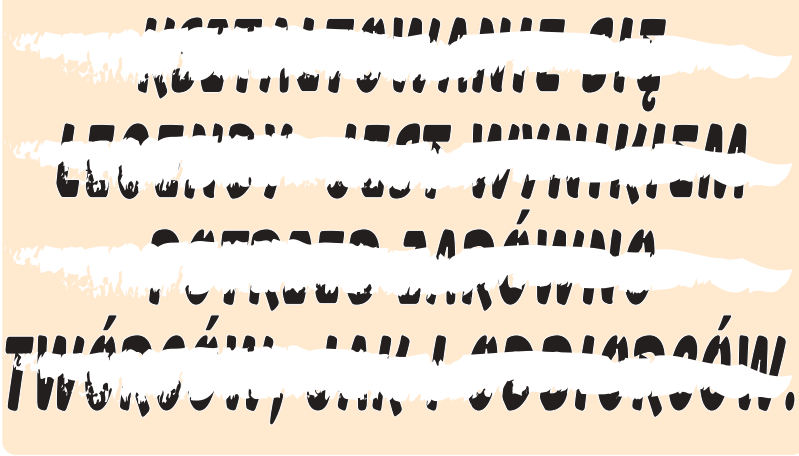

KSZTAŁTOWANIE SIĘ LEGENDY JEST WYNIKIEM POTRZEB ZARÓWNO TWÓRCÓW, JAK I ODBIORCÓW.

Aby język giętki…

WALDEMAR ŻUREK O DZIAŁANIACH ZIOBRY
Gdybym ja miał osiem lat, to mielibyśmy sądy działające wzorowo.

PROF. PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI O ROLI HUMANISTYKI
Humanistyka nie rozwiązuje problemów, ona pokazuje, gdzie te problemy tkwią.

KRZYSZTOF VARGA O JANUSZU PALIKOCIE
To człowiek legenda, bo dokonał w Polsce czynu rewolucyjnego. Stracił wszystko na produkcji wódki.

WOJCIECH SMARZOWSKI O OGLĄDANIU FILMÓW
Z reguły oglądam te, których sam nie potrafiłbym nakręcić, z takich, które potrafię – wychodzę z kina.

OLA KWAŚNIEWSKA O KUBIE BADACHU
Nie umiem odpuszczać, jeśli uważam, że coś jest dobre, a może być świetne. Zawsze wtedy cisnę. Kuba mnie nienawidzi w tych momentach.

JAN PAWEŁ KAPLIŃSKI „PEZET" O STARYM RAPIE
Nieraz tęsknię za starymi czasami, kiedy w rapie aż tak bardzo nie przeważał kult głupoty.

WOJCIECH SZCZĘSNY O RODZINIE
Wszystko, co dobre w moim życiu, wyniosłem z domu. Ale to, czego mi brakuje – też.

OLGA BOŁĄDŹ O TRENINGACH
W ostatnich latach trenowałam taniec na rurze, wspinaczkę ściankową, teraz trenuję boks, zaczęłam też biegać.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 1217c1a75a

Aukcja Świątecznych Okazji

Rafał Olbiński, Uwertura

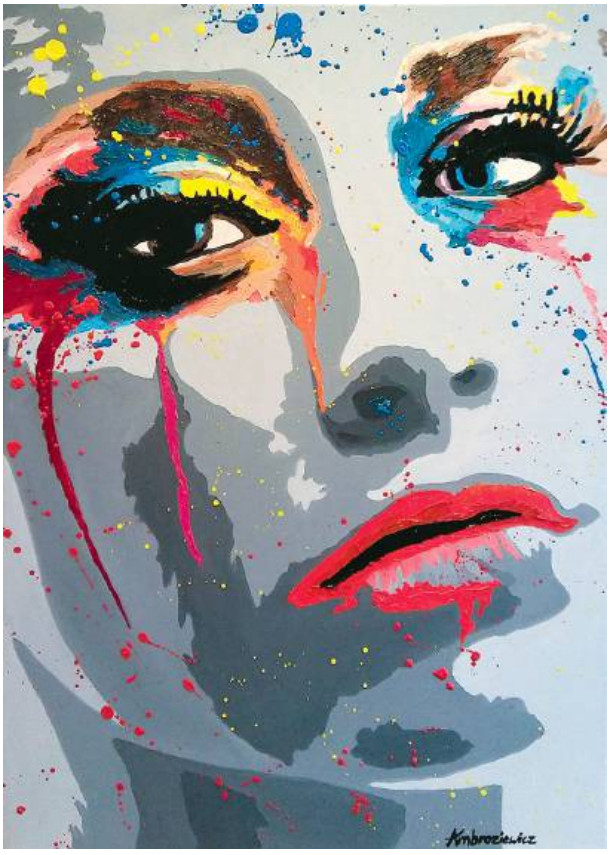

Małgorzata Ambroziewicz, Kolorowe oczy

Organizowana na platformie Artinfo.pl Aukcja Świątecznych Okazji to wyjątkowa propozycja dla miłośników sztuki, łącząca świąteczny klimat z możliwością pozyskania dzieł zarówno cenionych twórców, jak i prac artystów młodego i średniego pokolenia, którzy w ostatnich latach zdobyli uznanie kolekcjonerów i krytyków. W tegorocznej edycji znalazło się 36 obiektów reprezentujących malarstwo, grafikę i rzeźbę współczesną, w tym autorstwa Hanny Bakuły, Beaty Murawskiej, Rafała Olbińskiego, Igora Mitoraja czy Bronisława Chromego. Licytacja trwa do 17 grudnia do godz. 21.

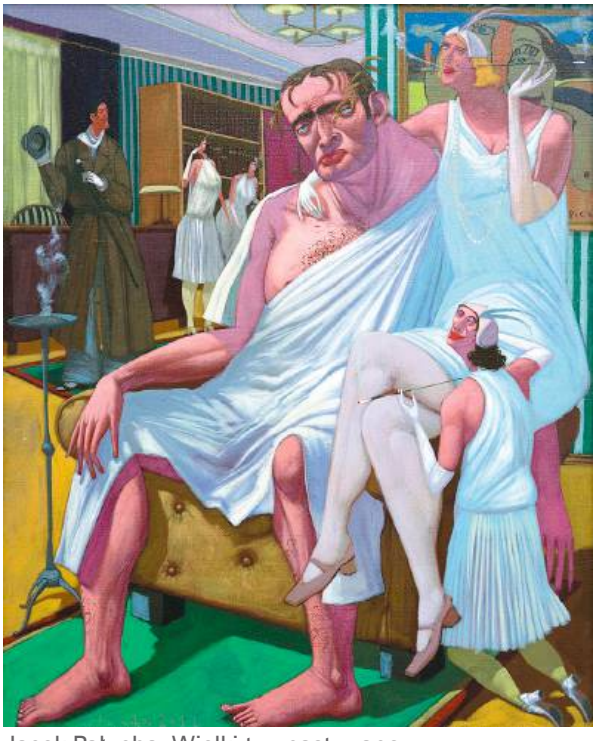

Jacek Pałucha, Wielki trzynasty rano

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

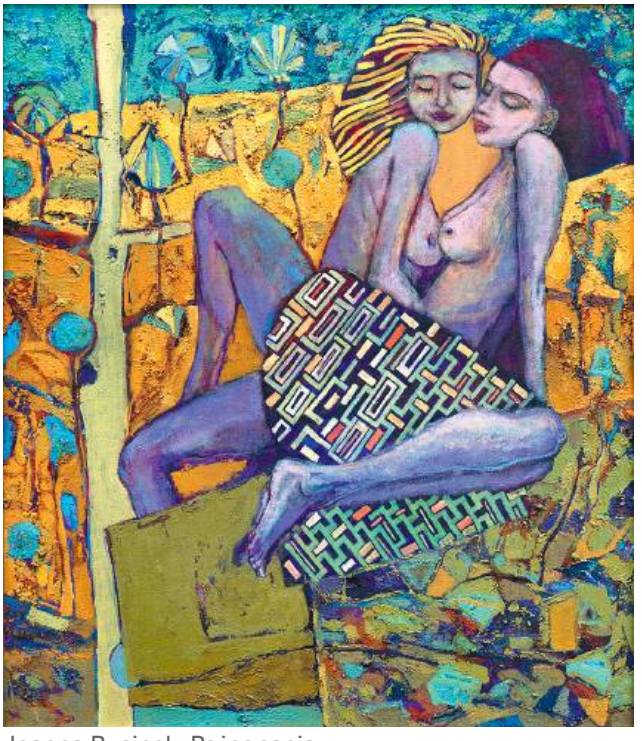

Joanna Rusinek, Pożegnania

eprasa.pl 1217c1a75a

·TEATR CAPITOL·

Szukasz pomysłu na Gwiazdkowy Prezent?

VOUCHER ·TEATR CAPITOL·

Daj się porwać świątecznej magii!

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 1217c1a75a

PONAD 30 NAGRÓD I 60 NOMINACJI

MFF AMMAN NAGRODA JURY NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF TAORMINA NAGRODA PUBLICZNOŚCI

QUINZAINE DIRECTORS' FORTNIGHT CANNES

FESTIWAL FILMOWY PRAW CZŁOWIEKA LUGANO NAGRODA FRASI NAGRODA PUBLICZNOŚCI

ARAB FILM FESTIVAL NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF SALONIKI NAJLEPSZY AKTOR NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF HELSINKI NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF CINECITTA NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MIDDLE EAST NOW FILM FESTIVAL NAGRODA PUBLICZNOŚCI

DO NIEZNANEJ ZIEMI

NIEZWYKŁA I PEŁNA GNIEWU OPOWIEŚĆ O POSZUKIWANIU LEPSZEGO ŚWIATA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

W KINACH OD **19 GRUDNIA**

eprasa.pl 1217c1a75a